

# rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 32 (1042) 10 SIERPNIĄ 1980 R. CENA 2 ZŁ

## W NUMERZE:

Uzdrowienie głuchoniemego  
● Maryja ● Święty w dzungli  
● Funkcje współczesnej rodziny ● Jędrzejowskie zegary ● Koniec wakacji ● Rozmyślanie



## MARYJA

Otrzymała Boże wezwanie: „Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Były to wielkie słowa. Maryja-matką Boga. „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego” (Łk 1,38). Najpiękniejsze to słowa, jakimi kiedykolwiek człowiek odpowiedział Bogu. Ale tak mogła odpowiedzieć tylko Ona, łaski pełna, kochająca Boga i pragnąca w życiu spełniać tylko Jego wolę. Jest służebnicą Pańską. Przeżywa radość zaszczytu, a także cierpienia, zmartwienia, trwogę i boleśń wzgardy. Hasłem jej życia było: kochać i wierzyć. Jej zawdzięczamy to, że Bóg zstąpił na ziemię w widzialnej, naszej, ludzkiej postaci. Bóg stał się człowiekiem dzięki Maryi. Bóg przyszedł na ziemię, aby przeżyć nasze życie po ludzku, by nadać każdemu naszemu czynowi wartość nieprzemijającą, nadprzyrodzoną i zbawiającą, by pojednać nas z Bogiem. Bóg przyszedł na ziemię, aby na niej pozostać już na zawsze: mocą swej łaski, pod postacią chleba i wina, mocą Słowa Bożego. Przyszedł po to, aby wejść w nasze życie, w każdy najmniejszy nasz czyn, by zamieszkać w naszych sercach i duszach. I wszystko to mamy dzięki Maryi, dzięki Jej postawie.

Ona jest naszą Matką. „Synu, oto Matka Twoja”. Modlimy się do Niej. Czy nas wysłucha? Tego nikt z nas nie wie. Ale nie zostawi nas w zapomnieniu. Ona ukaże nam Syna. Mamy w Niej wzór miłości i wiary.

Wniebowzięcie  
mal. Piotr Stachiewicz  
(1858—1938)



# Uzdrowienie głuchoniemego

# W

niedziele po Zesłaniu Ducha Świętego — jak zapewne zdążyliśmy zaobserwować — przedstawia nam Kościół prawdy Boże, posługując się dwoma zasadniczymi formami. Ukazuje nam więc, albo przeciwstawne obrazy (drzewo dobre i złe, człowieka duchowego i cielesnego, pokornego celnika i pysznego faryzeusza), albo też przedstawia opisy uzdrowień dokonanych przez Chrystusa lub innych wydarzeń ewangelicznych, przez co przywodzi nam na pamięć dzieje naszego zbawienia.

Każda niedziela jest przypomnieniem Zmartwychwstania Pańskiego oraz sakramentów z nim związanych. Również dzisiejsza liturgia nawiązuje do tego wydarzenia. Bowiem przez słowa lekcji mszalnej (1 Kor 15,1—10) daje św. Paweł świadectwo o zmartwychwstaniu Chrystusa. Zaś ewangelia o uzdrowieniu głuchoniemego (Mk 7,31—37), ma swe odzwierciedlenie w obrzędach sakramentu Chrztu świętego, przez który powstaaliśmy z grzechu do życia z Bogiem i dla Boga.

W niniejszym rozważaniu przyjrzymy się bliżej opisowi wspomnianego wyżej cudownego uzdrowienia oraz wyciągniemy wnioski z tego wydarzenia wpływające.

Podczas jednej ze swych podróży misyjnych znalazł się Jezus poza granicami ziemi żydowskiej, w krainie Fenicjan. Miało tam miejsce wydarzenie związane z niewiastą chananejką, proszącą o uzdrowienie córki (Mt 15,22—28). A kiedy Chrystus początkowo odmawiał, swoją pokorą i wytrwałością zniwoliła Go do spełnienia jej prośby. Wkrótce potem „wyszedł z okolic Tyru, przeszedł przez Sydon nad Morze Galilejskie śródkiem ziemi Dziesięciogrodzia” (Mk 7,31). W tym celu musiał Zbawiciel okrążyć od północy tetrarchię Heroda Antypasa, idąc z Tyru ku północy aż do miasta Sydon. Stąd skierował się na wschód i przeszedł przez góry Libanu i Antylibanu. Wreszcie — idąc na południowy zachód — przeszedł przez tetrarchię Filipa i znalazł się na terenie Dziesięciogrodzia, położonego na północnym wschodzie od jeziora Galilejskiego. Nazwa „Dziesięciogrodzie” pochodziła od dziesięciu miast, znajdujących się w tej krainie. Według relacji — żyjącego w połowie I wieku po Chr. — rzymskiego uczonego Pliniusza Starszego („Historia naturalna”, księga V, 18,74) były to miasta: Damaszek, Filadelfia, Rafana, Scytopolis, Gadara, Hippus, Dium, Pella, Geraza i Kanata. Niektóre z tych miast wspomniane są w księgach Nowego Testamentu. Nie można wykluczyć, że Jezus celowo unikał Galilei i pozostawał w okolicach zamieszkałych przez pogan. Działalność Jego tutaj nie była widać daremna, skoro w rejonie tym stosunkowo wcześniej powstały gminy chrześcijańskie. Tam też nastąpiło drugie rozmnożenie chleba, o którym była mowa w szóstą niedzielę po Zielonych Świątach.

W tym również czasie „przywiedli do niego głuchoniemego, i prosili, aby położył nań rękę” (Mk 7,32). Wiść o Proroku z Nazaretu i Jego cudach zdążyła już rozejść się po tej okolicy. Stało się to widocznie za sprawą opętanego, którego Chrystus nie tak dawno uzdrowił (Mk 5,15—20). Tacy zaś nieszczęśliwcy bywali niekiedy wyśmiewani i nikt się z nimi nie ujmował. W tym wypadku znaleźli się jednak ludzie życzliwi, którzy nie tylko przyprowadzili go do Zbawiciela, ale jeszcze zwrócili się doń z prośbą, by uzdrowił chorego przez włożenie ręki. Wiedzieli widocznie, że w ten sposób uzdrowił On innych chorych.

Nadzieja ich nie została zawiedziona. Bowiem Syn Boży „uziwił go na bok od ludu, osobno, włożył palce swoje w uszy jego, splunął i dotknął się jego języka” (Mk 7,33). Mógł wprawdzie uzdrowić go jednym słowem, jednak i jego postanowił przygotować do uzdrowienia. Wyprowadził więc najpierw chorego z tłumu, gdyż obecność tylu ludzi wokół musiała go oszołamiać. Chciał też widocznie zaznaczyć przez to, że cud nie jest widowiskiem. Następnie „przetkał” uszy chorego oraz zwilżył swoją śliną jego język. U starożytnych bowiem uchodziła ślina za środek uzdrawiający. Nie mogąc przemówić do głuchoniemego, posłużył się Jezus gestami, które w tym wypadku miały zastąpić słowa. Równocześnie te symboliczne czynności — jak powszechnie przyjmują egzegeci — miały na celu pobudzić i spotęgować wiarę tego kaleki, co zawsze było warunkiem cudu.

W tej chwili opowiadanie Ewangelisty osiąga szczytowy punkt. Zbawiciel bowiem „spojrzał w niebo, westchnął i rzekł do niego: Effeta, to znaczy: Otwórz się!” (Mk 7,34). Gest ten przypomina scenę cudownego rozmnożenia chleba. Spojrzenie w niebo miało choremu uświadomić, że moc Chrystusa pochodzi od Ojca niebieskiego i stamtąd może spodziewać się pomocy. Równocześnie przytacza św. Marek — wypowiedziane przez Jezusa — aramejskie słowo „effeta” i zaraz je tłumaczy. Na skutek chory nie musiał długo czekać. Bowiem w jednej chwili „otworzyły się uszy jego, i zaraz rozwiązały się więzy języka jego, i mówił poprawnie” (Mk 7,35), jak wszyscy normalni lu-



Przy udzielaniu sakramentu Chrztu św. powtarzane są słowa i gesty, które Chrystus wykonał przy uzdrowieniu głuchoniemego

dzie. Najprawdopodobniej mowa nieszczęśliwego była do tej pory bełkotliwa i niezrozumiała. Wyrażenie „rozwiązały się więzy języka jego” jest pewną aluzją do ówczesnych wyobrażeń, według których pewne władze człowieka mogły być związane, czyli skrepowane przez złe duchy. Starożytni Grecy znali nawet pewne magiczne formułki na tego rodzaju skrepowania człowieka, a szczególnie na rozwiązanie języka. Znalaziono nawet ołowiane tabliczki z różnego rodzaju zaklęciami, które miały być w takich wypadkach pomocne.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, tak i tym razem Syn Boży „przykazał im, aby nikomu o tym nie mówili, ale im więcej im przykazywał, tym więcej oni rozgłaszali” (Mk 7,36). Zakaz ten dotyczył nie tylko chorego, lecz większej grupy ludzi. Być może tych, którzy przywiedli go do Jezusa, zważywszy, że cud dokonany został na osobności. Jednak i tym razem rozkazu Jego nie posłuchano lub spełniono go tylko częściowo. Co więcej. Wszyscy, którzy dowiedzieli się o tym cudzie „niezmiernie się zdumiewali mówiąc: Dobrze wszystko uczynił bo sprawia, że głusi słyszą i niemi mówią” (Mk 7,37). Lud wygłaszał hymny pochwalne na cześć Chrystusa. Zaś w ich umysłach motyw lęku przeplatał się z motywem wiary. Kiedyś Bóg uznał swoje dzieło stworzone za dobre (Rdz 1,31). W tej chwili w stwórcze dzieło Ojca niebieskiego włącza się Syn Boży. A to, co On czynił, także było dobre. Równocześnie wypełniało się prorocтво, mówiące: „Wtedy otworzą się oczy ślepych, otworzą się też uszy głuchych. Wtedy chromy będzie skakał jak jeleń i radośnie odezwie się język niemych” (Iz 35,5—6). Jego realizacja jest znakiem nadejścia czasów mesjańskich. Poznali to poganie. Niestety Izraelici nie potrafili dostrzec znaków zbawienia.

Zdarzenie opisane w dzisiejszej ewangelii — jak już wspominaliśmy — ma swoje odzwierciedlenie w liturgii sakramentu Chrztu św. Bowiem przy udzielaniu tego sakramentu powtarza Kościół gest, który Chrystus wykonał przy uzdrowieniu głuchoniemego. Równocześnie poleca on kapłanowi powtarzać na wspomnienie, zawarte w słowach: „Effeta to jest: niech otworzą się uszy twoje na słuchanie głosu Bożego” oraz „Effeta to jest: niech wargi twoje wyznają Chrystusa przed ludźmi, aby i On wyznał cię przed Ojcem swym, który jest w niebie” (Rytuał Kościoła Polskokatolickiego, str. 17).

Przed chrztem każdy z nas jest niejako głuchy i niemy. Nie może przemówić do Boga podczas modlitwy, gdyż nie ma wiary; nie potrafi też usłyszeć głosu Bożego, gdyż jest głuchy na sprawy dotyczące jego Królestwa. Jednak przez „sakrament odrodzenia” staje się człowiek dzieckiem Bożym i otrzymuje nadprzyrodzone życie łaski. W duszy jego zamieszkuje Duch Święty i staje się pośrednikiem między nim a Bogiem. Równocześnie Duch Święty staje się niejako językiem, dzięki któremu możemy podczas modlitwy przemawiać do naszego Ojca w niebie. Bo według nauki św. Pawła: „Duch wspiera nas w niemocy naszej; nie wiemy bowiem, o co się modlić, jak należy, ale sam Duch wstawia się za nami w niewysłownych westchnieniach” (Rz 8,26) Jest On uchem naszej duszy, dzięki któremu zdolni jesteśmy usłyszeć i zrozumieć prawdę objawioną przez Boga, by przez jej wypełnianie osiągnąć szczęście wieczne. Przypomina to Apostoł, gdy pisze „W nim i wy, którzy uszłście słowo prawdy, ewangelie zbawienia waszego..., zostaliście zapieczętowani obiecany Duchem Świętym” (Ef 1,13).

To, do czego zostaliśmy zobowiązani podczas Chrztu świętego, winniśmy wypełniać w codziennym naszym życiu. Otwórzmy więc uszy dusz naszych na słowo Bożej prawdy, docierającej do nas za pośrednictwem Kościoła, przez głos naszego sumienia oraz przez literaturę i prasę religijną. Otwórzmy usta nasze, by głosiły chwałę Bożą i wyznawały naszą przynależność do Chrystusa. A wówczas i On nas wyzna „przed Ojcem..., który jest w niebie” (Mt 10,32).

KS. JAN KUCZEK

W TYGODNIU: 10. VIII — XI Niedziela po Zesłaniu Ducha Świętego (lekcja z I Listu św. Pawła apostoła do Koryntian 15,1—10; ewangelia według św. Marka 7,31—37) 13. VIII — środa — św. Hipolita, męczennik (f 235) 15. VIII — piątek — uroczystość Wniebowzięcia NMP 16. VIII — sobota — św. Joachim, ojca NMP

W TYGODNIU:



Liturgiczne i kościelne święto Wniebowzięcia Maryi, obchodzone 15 sierpnia, kieruje nasze myśli ku Maryi, Matce Jezusa Chrystusa i Matce naszej. Zawsze, gdy patrzymy na obrazy, czy figury przedstawiające Maryję, gdy składamy kwiaty i ofiarujemy świece na Jej ołtarz, gdy klękamy i modlimy się do Tej która była matką Jezusa Chrystusa, zawsze staramy się dać odpowiedź na to, kim Ona jest dla mnie, dla nas. Zastanawiamy się też, dlaczego i z jakich to powodów darzymy ją tak wielką, głęboką, powszechną i serdeczną czcią?

Nie wiemy jak wyglądała Jej twarz. Nie mamy Jej portretu, tak zresztą, jak i nie wiemy jak wyglądał Jezus. W Piśmie Świętym znajdujemy o Niej nader skąpe wiadomości. Jeżeli w Ewangelii mamy wzmianki o Maryi, to zawsze w kontekście oznajmiania i objaśniania tajemnicy Wcielenia Syna Bożego oraz tajemnicy Odkupienia dokonanego przez Jezusa Chrystusa. Ewangelie nie przekazują nam ani szczegółów z Jej życia, ani też szczegółów dotyczących Jej śmierci. Wiemy, że mieszkała w wiosce zwanej Nazaret, leżącej w północnej części Palestyny zwanej Galileą. Nosila imię Maria (po hebrajsku Marian = czyli kochana przez Jahwe lub dobra Pani).

Pierwszym szczegółem z życia Maryi, o którym wspomina Ewangelia, jest fakt poślubienia Jej „mężowi, któremu było imię Józef, z domu Dawidowego” (Łk 1, 27). Ile Maryja miała lat? W oparciu o istniejące wówczas zwyczaje, można przypuszczać, że miała 14. może 15 lat. I tę młodą niewiastę Bóg wybiera na Matkę swego Syna, Jezusa Chrystusa. Dlaczego akurat ją?

Otrzymała specjalne Boże wezwanie, objawione Jej przez wysłannika niebios: „Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię JEZUS. Będzie on wielki i będzie Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego Ojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, i Jego panowaniu nie będzie końca” (Łk 1, 31—33). To było Zwiastowanie. Tu padły wielkie słowa. Słowa wysłannika niebios mogły zmieszać i przerazić Maryję. Nie były jednak takie, by ich Maryja nie mogła w pełni zrozumieć. Oczekiwanie Mesjasza było głęboko wryte w sercu każdego członka żydowskiej społeczności. I te same nadzieje żywiła w swoim sercu Maryja, choć może nie spodziewała się, że to właśnie przez Nią zakwitnie najpiękniejszym kwiatem „róźdzka z pnia Jessego”. Obietnica wysłannika niebios była wypowiedziana dokładnie w tej formie, w jakiej była najbardziej rozpowszechniana. A jeżeli Maryję mogło coś przerazić, to jedynie ogrom tajemnicy tego, czego żądał i czego oczekiwał od Niej Bóg. Słowa anioła bowiem wyraźnie oznaczały, że Ona pocznie i porodzi Syna. Będzie to Jej własne dziecko. I tego nikt nie będzie kwestionował. Ale będzie to zarazem Syn Najwyższego Boga. Ona zaś zostanie tym samym Matką Boga. Z punktu ludz-



## MARYJA

kiego było to niemożliwe. „Jakże to się stanie?” — pyta Maryja. Tylko pyta. „Duch Święty zstąpi na ciebie i moc Najwyższego osłoni cię; dlatego też to, co się narodzi, Święte będzie Synem Bożym” (Łk 1,35X Bóg dokonał wyboru. Bóg przekazał swoje życzenie. A jak na nie zareaguje Maryja? Jaką da odpowiedź? Decyzja zależała tylko i wyłącznie od Niej. Tylko Ona, właśnie Ona, nie kto inny, nie król ani też inny władca tej ziemi, ma zdecydować o tym, czy Bóg przyjdzie na ziemię, czy Bóg stanie się Człowiekiem. I zdecydowała. „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twojego” (Łk 1,38). Wspaniałe to słowa. Kiedyś człowiek powiedział Bogu — Nie. Teraz człowiek mówi — Tak. I godna to odpowiedź człowieka udzielona Bogu. I tak odpowiedziała Maryja. I chyba tylko Ona mogła zdobyć się na taką właśnie odpowiedź, gdyż tylko Ona była „pełną łaski”, a „Pan był z Nią”. Bo Ona rzeczywiście kochała szczerze Boga i i zawsze pragnęła wypełniać Jego wolę. Ona chciała być na zawsze pokorną służebnicą. I taką do końca pozostała. Bo Ona

„Była cicha i piękna jak wiosna. Żyła prosto, zwyczajnie, jak my. Ona Boga na świat nam przyniosła...”  
 Żyć cicho, zwyczajnie, tak jak każdy, jak my...? Trudno to nam sobie dziś wyobrazić. A jednak Ona była taką. Mimo godności Matki Jezusa Chrystusa pozostała zwykłą, zwyczajną niewiastą. Przeżywała wielkie radości, tak jak każda matka. Ale nie była wolna od cierpień, wielkich cierpień, zmartwień, chwil lęku, trwogi i bóleści. Tak jak każda matka. Tyle, że ona więcej przeżywała. Ale nie załamała się. Wszystko zniosła. Wszystko przecierpiała. I wierzyła. I „ufność pokładała w Panu, a dusza Jej ufała słowu” (Ps 129, 5).

Maryja ustawicznie przeżywała to, że wyniesiona została do godności Matki Boga. Na pewno rozumiała, że Bóg mógł dać światu swego Syna Jednorodzonego bez Jej pomocy i udziału. Bóg mógł Go zesłać z nieba w płomiennym blasku chwały. Mógł. Ale Bóg wybrał inną drogę. Bóg wybrał

Ją I o tym wybraniu Maryja wiedziała. I odpowiedziała na Miłość. Dziękowała słowami: „Wielbi dusza moja Pana i raduje się duch mój w Bogu. Zbawcy moim...” (Łk 1, 46—47). Tak się modliła, pełna pokory i uwielbienia Boga. Ale były to nie tylko słowa. To było całe Jej życie. Dlatego mogła mówić słowa psalmu:

„Z mego serca tryska piękne słowo;  
 pieśń moją głoszę dla Króla.  
 Wdzięk rozlał się na Twoich wargach;  
 przeto pobłogosławił Tobie Bóg na  
 wieki.  
 Sprawiedliwość milujesz, wstrętna Ci  
 nieprawość;  
 toteż Bóg Twój namaścił Ciebie  
 olejkiem radości.  
 Przez wszystkie pokolenia głosić będą  
 Twe imię;  
 po wiek wieków sławić Cię będą  
 narody” (Ps 45).

I my Ją sławimy, może nawet więcej niż inne narody. Sławimy Ją za to, że dzięki Niej, Bóg w widzialnej, naszej, ludzkiej postaci przyszedł na ten świat. Sławimy Ją, bo dzięki Jej pokorze, miłości i wierze, Bóg stał się Człowiekiem. A stał się po to, aby przeżyć nasze życie po ludzku, tak jak każdy z nas, aby każdemu naszemu czynowi nadać wartość nieprzemijającą, sięgającą wieczności. Przyszedł po to, aby zjednoczyć nas z Bogiem. Aby mocą swej łaski i nieograniczonej władzy pozostać z nami na zawsze. Tu, na ziemi, na tej naszej ziemi.

I dlatego Ją sławimy. Bo Jej zawdzięczamy Jezusa. I dlatego Ją za to kochamy. I dlatego Ją za to czcimy w pieśniach, nabożeństwach i modlitwach. I dlatego, choć nie wiemy jak wyglądała Jej twarz, to — jak pisze francuski teolog Daniel Rops — „obraz Maryi jest nam bliski. Maryja tkwi u podstaw naszej kultury i wiary chrześcijańskiej i katolickiej, i polskiej. I trudno nawet pojąć, jak bardzo wszystko by się zmieniło, gdyby Jej postać została z naszych tradycji religijnych wymazana”.

Do Maryi zanosimy swe modły, wierząc, że Ona przedłoży je swojemu Synowi. Zanosimy modły, bo wierzymy, że Ona jest w niebie. Jest tam razem ze swoim Synem, a naszym Panem i Bogiem, Jezusem Chrystusem. Wierzymy, że jako nasza Matka, zna nasze troski, zmartwienia i bóle. Ona wie, co to jest cierpienie, samotność, opuszczenie i wzgarda. Ona wie, co to jest trud życia codziennego. Ona wie, co znaczy dla człowieka łaska siły. Co znaczy zdolność wytrwania w wierze i życie godne miana dziecka Bożego. Ona wie, że najważniejszym jest pełnienie woli Bożej. Ona chce być naszą pośredniczką na drodze wiodącej do Jej Syna, do nieba. A skoro wie, to my możemy z ufnością prosić:

„Pod Twoją obronę, uciekamy się,  
 Święta, Boża Rodzicielko...  
 Pośredniczko nasza... z Synem swoim  
 nas pojednaj,  
 Synowi Swojemu nas oddawaj”.

Ks. TOMASZ WOJTOWICZ





Każdego roku w naszej parafii odbywa się uroczystość Bożego Ciała. Tegoroczna uroczystość zgromadziła licznie naszą parafialną wspólnotę. Ks. dziekan Henryk Buszka o godz. 10.30 odprawił uroczystą Mszę św. koncelebrowaną z kapłanami dekanatu bielskiego i wygłosił homilię na temat znaczenia Sakramentu Eucharystii w życiu wierzącego człowieka.

W czasie Mszy św. wierni licznie przystąpili do Komunii św. Po Mszy św. przy dźwiękach dzwonu i parafialnej orkiestry wyruszyła procesja Eucharystyczna. Przy poszczególnych pięknie udekorowanych ołtarzach kapłani odśpiewali Słowa Ewangelii. Na zakończenie Ks. Dziekan udzielił zebrany błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Odśpiewaniem pieśni „Ciebie Boże wysławiamy” zakończono tę piękną uroczystość.

HENRYK ZIELIŃSKI

## Uroczystość Bożego Ciała w parafii pw. św. Anny w Bielsku Białej



## Uroczystość I Komunii w Szczecinie



Modlitwa przed przyjęciem Komunii św.



Wierni po nabożeństwie



W roku 1965 świat stracił jednego z największych humanistów naszych czasów. Był nim Albert Schweitzer. Zmarł on w wieku 90 lat. Albert Schweitzer był człowiekiem o nieprzeciętnych walorach umysłu i serca. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, teolog i filozof, wielki moralista i wspaniały muzyk i nade wszystko doskonały lekarz. Warto pokrótce przyrzeć się życiu człowieka, przed którym z szacunkiem chylili głowy władcy państw i naukowcy.

Urodził się w dniu 14 stycznia 1875 roku w Kaisersbergu (Górna Alzacja) na pograniczu Niemiec i Francji. Wkrótce rodzice wraz z małym Albertem przenoszą się do Günsbach. Ojciec Alberta był proboszczem w miejscowym zborze ewangelickim, dziadek ze strony ojca — nauczycielem, a ze strony matki, pastorem zamilowanym w muzyce organowej. Po nim to odziedziczył Albert zamilowanie do starych, zabytkowych organów. Z atmosfery swego domu wyniósł głęboką religijność, zasady moralne i powołanie do nauczania. Po ukończeniu studiów teologicznych i filozoficznych, uwieńczonych doktoratami, zostaje pastorem.

W swoich książkach: „Z mojego dzieciństwa i młodości” i „Z mego życia i myśli” wspomina Albert Schweitzer, że jako 5-letni chłopiec rozpoczął naukę gry na fortepianie pod kierunkiem swego ojca, a kiedy ukończył siedem lat zadziwił swoją grą nauczycielkę w szkole. Mając lat osiem grał już na organach, a gdy miał lat dziewięć pozwolono mu po raz pierwszy zastąpić organistę w czasie nabożeństwa. Kolejni nauczyciele muzyki: organista Eugeniusz Munch i francuski kompozytor Charles Maria Widor ukształtowali jego talent i wszczepili wielkie zamilowanie do muzyki Jana Sebastiana Bacha.

To właśnie Widor zaproponował Schweitzerowi napisanie szkicu na temat tego genialnego kompozytora. Szkic, zamierzony początkowo jako podręcznik dla potrzeb studentów konserwatorium, rozrósł się pod pió-

rem Alberta do najbardziej wyczerpującej książki na temat twórczości Jana Sebastiana Bacha. Schweitzer, zmęczony pracą, późną nocą udawał się do kościoła, gdzie przynajmniej godzinę grał na organach, znajdując w ten sposób odpoczynek. W Lambarene chorzy słyszeli w upalne afrykańskie noce uroczyste tony Bachowskiej fugi płynące z wnętrza jego domku. Muzyka była mu potrzebna jak chleb i woda. Bez możliwości grania czułby się nieszczęśliwy, a o tym wiedzieli jego najbliżsi fundując mu fisharmonię.

W swoich książkach wspomina o tym, w jaki sposób reagował na dziecięce okrucieństwo i bezmyślność swoich kolegów. „Bieda, której tyle na świecie widziałem — pisze Schweitzer — odkąd pamiętam, zawsze sprawiała mi wiele bólu. Właściwie nigdy nie zaznałem beztroskich uciech młodości i myślę, że tak jest z wieloma dziećmi, choć

## ŚWIĘTY W DŻUNGLI

na oko wyglądają wesoło i pogodnie. Szczególnie cierpiałem nad tym, że biedne zwierzęta muszą znieść tyle bólu i nędzy. Tygodniami prześladował mnie widok pewnego starego i kulawego konia, którego jakiś człowiek tuż za mną szarpał bezlitośnie, podczas gdy drugi walił go kijem..”

Albert Schweitzer, doktor filozofii i teologii, wspaniały muzykolog, najlepszy znawca i konserwator starych organów, w trzydziestym ósmym roku życia kończy studia medyczne, by udać się na odległą placówkę misyjną i nieść pomoc najbardziej-



szym — Murzynom z afrykańskiej głuszy. Tym razem nie liczył się już ze zdaniem bliźnich — posądzano go o brak równowagi psychicznej. Nie potrafiono zrozumieć motywów decyzji. Mimo braku funduszy, pomocy lekarskich i personelu rozpoczął w roku 1913 nowy etap życia. Realizował myśl przewodnią swoich pism: „Kto wiele piękna doświadczył w życiu, musi w zamian wiele dać z siebie. Komu oszczędzono cierpienie, ten powinien innym łagodzić cierpienie. Wszyscy razem musimy nieść brzemień bólu ciężące nad światem”.

Lambarene położone nad rzeką Ogowe w republice Gabon było miejscem, dla miesz-

dokończenie na str. 6

## MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (477)

**K** *ria ecclesiae christianae* (1827), czyli *Historia kościoła chrześcijańskiego*; *Geschichte des Christentums in Oesterreich und Steiermark* (1840—42), czyli *Dzieje chrześcijaństwa w Austrii i Styrii*.

**Klemens Aleksandryjski** — (Tytus Flawiusz; ur. ok. 150 r. w Atenach, zmarł w Aleksandrii ok. 211—216 r.) posiadał gruntowną i szeroką wiedzę. Jako człowiek dojrzały i wykształcony przyjął chrzest, czyli stał się chrześcijaninem, po czym przeniósł się do Aleksandrii. Tu w latach 189—202 uczył w Chrześcijańskiej Szkole Katechetycznej (była to pierwsza wyższa szkoła teologiczno-filozoficzna chrześcijańska), a nawet miał być przez jakiś czas jej kierownikiem, czyli rektorem. Napisał szereg prac, a wśród nich przede wszystkim: *Protreptikos pros Helenas* (gr.), czyli *Upomnienie pogan*; *Pajdagogos*, czyli *Pedagog*; *Stromatejs*, czyli *Kobierce*. Poglądy albo naukę Klemensa, który bardzo wzorował się na → Platonie, a w sprawach praktycznych bardzo widocznie na stoikach, a dał im wyraz również przede wszystkim w swoich książkach, można ująć w trzech punktach. 1. Boga nie można poznać, mówić o Nim można raczej w sposób negatywny, czyli kim nie jest, niż kim jest. → Logosa pojmuje raczej na wzór filozofii → Filona. Przyjmuje w czwórkę dwie dusze: zwierzęcą i umysłową — ludzką. 2. Bardziej znanym stał się Klemens dzięki swoim usiłowaniom uchrześcijanienia głoszonej i upowszechnionej przez gnostyków — gnozy. Chrześcijańską gnozę (wyższą wiedzę) Klemens opiera przede wszystkim na wierze, która jest naszemu życiu umysłowemu, duchowemu, tak potrzebna, jak oddech dla życia cielesnego. Wiarę jednak trzeba pielęgnować, jak ogrodnik pielęgnuje winną latorośl, a tę rolę spełnia filozofia. Do gnozy chrześcijańskiej dochodzi się więc przez wiarę i filozofię. Ale to jeszcze nie jest pełna, prawdziwa, gnoza chrześcijańska: trzeba być czystym, żałować za grzechy, żyć moralnie. Człowiek posiadający wiarę, wyszkolony filozoficznie i żyjący moralnie — zdobywa prawdziwą gnozę chrześcijańską, lepiej poznaje prawdę, jeśli zaś przyozdobi się jeszcze miło-

ścią, wtedy mówić można dopiero, że zdobywa prawdziwą gnozę chrześcijańską. Oczywiście tak ukształtowany człowiek czyni dobre uczynki, nie chowa światła pod korzec, jest społeczny, pomocny drugim. 3. Chrześcijański gnostyk jest ideałem człowieka według Klemensa, podobny zresztą do ideału stoickiego, przede wszystkim wolny od jakichkolwiek namiętności i pasji, zawsze spokojny, zrównoważony. Tak uformowany gnostyk chrześcijański jest całkowicie nastawiony na Boga; wszystko, co czyni dobrego, czyni nie dla nagrody, czy ze strachu przed karą, ale dla Boga, dla dobra samego. Tak żyjąc zdobywa niewzruszony pokój ducha, który to pokój i równowagę nazywa po grecku apateja; w takim stanie czyni przez człowieka wykonywane są dobre, doskonale w ziemskim rozumieniu.

Niektóre poglądy Klemensa przejął i je rozbudował → Orygenes, a dodawszy nowe, swoje zbudował kierunek filozoficzno-teologiczny zwany → orygenizmem.

**Klemens I** — (rzymski; żył w I wieku) — z urodzenia był Rzymianinem. Według dawnej tradycji miałby być trzecim z kolei następcą → św. Piotra (na ogół przyjmuje się, że pierwszym następcą był Linus, drugim — Cletus, i pełnił by miał swój urząd jako papież w latach 88—97, według innej wersji od 92—97, a nawet do 101. Jest autorem listu do Koryntian, który jest uważany za najstarszy dokument papiejskich rządów. Został Klemens I ogłoszony świętym i ojcem Kościoła.

**Klemens XI** — (ur. 1649, zm. 1721) — to imię papieża, Włocha, który został papieżem w 1700 roku i który m.in. znany jest z potępienia bullą *Unigenitus* → jansenizmu i jansenistów.

**Kleofas** — to imię jednego z uczniów Jezusa Chrystusa, który po swoim zmartwychwstaniu ukazał mu się na drodze, kiedy Kleofas z drugim jeszcze uczniem szli do Emaus (zob. Łk. XXIV, 13—35). Takie samo imię miał też mąż Marii, krew-



kańców którego przyjazd Schweitzaera stał się początkiem nowej epoki. Przyjechał bowiem biały lekarz, nazwany Ogangą, czyli wielkim czarownikiem, który z całym zaangażowaniem wkroczył w tę dziedzinę ich życia, gdzie do tej pory panował znachor-czarownik. Był sam przeciw piętrzącym się ze wszech stron trudnościom, walczył z dziką przyrodą afrykańskiej dżungli, z brakiem funduszy na budowę i wyposażenie szpitala, z brakiem leków, a przede wszystkim z mentalnością ludzką. Do Lambarene przyjechała ze Schweitzaerem jego żona, jako jedyna pielęgniarka i pomocnica. Przyjechali mając ze sobą fundusze i leki zgromadzone za wydane książki, za prelekcje i koncerty. Zaczęli od karczowania kawałka dżungli pod pierwsze baraki, borykając się z opieszałością czarnych robotników, dla których budowanie najprostszego budynku było zbyt trudnym zadaniem. Toteż Schweitzaer szybko stał się uniwersalnym budowniczym: sam projektował baraki, starając się przystosować je do potrzeb szpitala w zgodzie z warunkami klimatycznymi, sam zajął się karczowaniem drzew na budulec, ciesielką i kryciem dachów.

Pobyt Schweitzaera w Lambarene trwał, z przerwami, 52 lata. Po raz pierwszy opuścił Lambarene w czasie I wojny światowej, internowany przez władze francuskie jako obywatel niemiecki. Po powrocie zastał cały swój uprzedni wysiłek zniszczony — baraki szpitalne rozpadły się, przeszkolony murzyński personel opuścił stację misyjną. Trzeba było zaczynać wszystko od nowa: karczować puszcze, budować i szkolić. Tym razem doktor Schweitzaer przywiózł z Europy pielęgniarkę oraz dwóch młodych lekarzy. Na wykarczowanych kawałkach ziemi sadił rośliny dające pokarm coraz liczniejszemu pacjentom jego szpitala, bogacącego się w nowe pawilony. Wkrótce wystarczyło budynków na dzielenie chorych stosownie od rodzaju schorzenia. Powstała oddzielna wioska dla trędowatych.

Pracowity dzień Schweitzaera rozpoczynał się wczesnym rankiem. Chorzy przybywali z odległych nieraz miejscowości, płynąc całymi tygodniami z nurtem Ogowe. Poddawali się z ufnością wszelkim zabiegom. Lubili przyjmować leki. Swoim znajomym dr Schweitzaer kiedyś wyznał: „Nigdy nie jestem pewien, czy mimo dokładnych wskazówek, których przed odejściem muszą się wyuczyć na pamięć, nie zjedzą maści przeznaczonej do smarowania lub nie połkną od razu całej ilości pigulek przeznaczonych na długotrwałą kurację”.

W szpitalu mogli pozostać tylko najciężej chorzy, potrzebujący nieustannej opieki lekarskiej. Umiejętność postępowania z pacjentami pomagała Albertowi Schweitzaerowi w osiągnięciu dobrych wyników leczenia. Podczas pobytu chorego w szpitalu towarzyszyła mu rodzina. Otoczenie baraków wyglądało jak obozowisko, pełno tu było czarnych ludzi. Schweitzaer musiał więc zadbać, aby ta cała olbrzymia gromada miała co jeść. Przy pomocy rodzin swoich chorych pacjentów karczował drzewa i oraz ziemie pod przyszłe ogrody. Sadił banany i mangowce, jarzyny, hodował kury i indyki oraz sprowadzone z Europy kozy mleczne.

Doktor Schweitzaer gospodarował, budował, leczył, odpisywał osobiście na setki listów przychodzących z całego świata. Zaś w niedziele i święta odprawiał nabożeństwa i wygłaszał kazania, przekazując swoim podopiecznym zasady moralne w prosty i zrozumiały dla nich sposób. Był człowiekiem bardzo skromnym, nie znoszącym rozgłosu. Mimo to nazwisko jego znał cały świat. Każdy jego przyjazd do Europy był wydarzeniem oczekiwanym przez prasę i radio, jego książki tłumaczono na wszystkie niemal języki świata, a koncerty i odczyty cieszyły się niezwykłym powodzeniem.

Od roku 1932 Albert Schweitzaer nie odwiedzał już Niemiec. Widział bowiem wstrząsające widmo hitleryzmu. Okres II wojny światowej przetrwał Albert Schweitzaer wraz ze swoimi chorymi w Lambarene. Wprawdzie wojna nie ominęła też Lambarene, to jednak walczące strony potrafiły uszanować osobę i dzieło tego niezwykłego człowieka. W

tym czasie warunki bytowe stawały się jeszcze cięższe, lekarstwa i instrumenty medyczne przestały przychodzić do Lambarene, potrzebne były bowiem w szpitalach polowych.

W roku 1948 Schweitzaer odbył znów podróż po Europie, zbierając fundusze na szpital, koncertując i wygłaszając prelekcje. Płynęły ofiary od osób prywatnych i instytucji, powstawały komitety jego imienia, zbierające fundusze na utrzymanie szpitala dra Schweitzaera. Do Lambarene zaczęli przyjeżdżać lekarze i pielęgniarki, znalazły się leki, narzędzia chirurgiczne.

W roku 1953 Albert Schweitzaer otrzymał Nagrodę Nobla za utrwalanie pokoju między narodami. Przy tej okazji w prasie ukazały się jego słynne apele. Schweitzaer, stary lekarz z Lambarene, wytoczył bitwę broni nuklearnej, widząc w niej śmiertelne niebezpieczeństwo dla życia ludzkiego i całego świata.

BOGDAN NOWAK



## MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (478)

nej Najśw. Maryi Panny (zob. J. XIX, 25); niektórzy egzegeci twierdzą, że w obu przypadkach jest to ten sam Kleofas, czyli że był tylko jeden Kleofas, a nie dwóch.

**Klepsydra** — (gr. klepto = kradnę i hydor = woda) — to nazwa przyrządu do mierzenia czasu, przyrządu, który składa się z dwóch na ogół szklanych naczyń stożkowych połączonych wąskim kanałikiem, poprzez który przesypane jest piasek lub przesącza się woda w określonym czasie z górnego do dolnego naczynia. Jako symbol upływu czasu życia ludzkiego jej podobiznę umieszczano i umieszcza się jeszcze współcześnie na grobowcach i epitafiach. Tę nazwę odnosi się też do ogłoszenia, plakatu, donoszącego o śmierci czyjeś, umieszczanego na ogół na drzwiach kościoła, w gablocie przykościelnej, czy też, względnie również też na drzwiach czy ścianie domu, w którym zmarły mieszkał.

**Kler** — (gr. klyros = wybrany losiem) — to inna nazwa duchowieństwa chrześcijańskiego i katolickiego, a więc kapłanów, którzy obdarzeni powołaniem przez Boga zostali wybrani spośród innych do pełnienia służby w Kościele: sprawowania kultu, szafowania sakramentów św., głoszenia Słowa Bożego — dla zbawienia nieśmiertelnych dusz ludzkich (→ kapłan).

**Kleryk** — (→ kler) — to nazwa ogólna mężczyzny, który w Kościołach Katolickich z chwilą otrzymania → tonsury jest zaliczony w poczet duchowieństwa i ma prawo noszenia koloratki i sutanny, czym już zewnętrznie różni się od ludzi świeckich, czyli od → laików.

**Klerykalizm** — (→ kler: → kleryk) — to termin, którym określa się kierunek polityczny, według którego duchowni (kapłani, księża) mogą brać udział czynny poza i obok spełniania swoich ściśle kapłańskich i kościelnych funkcji również w działalności czysto świeckiej, a także w polityce. Antyklerykalizm przeciwstawia się pracy duchownych poza

dziedziną ściśle religijno-kościelną. Ogólnie też nieraz klerykalizmem nazywa się przychylną postawę wobec duchowieństwa, antyklerykalizmem — nieprzychylną.

**Kleuker Jan Fryderyk** — (ur. 1749, zm. 1829) — to niemiecki profesor teologii, autor kilku dzieł specjalistycznych z zakresu teologii i filozofii. Napisał m.in. *Über die Natur und der Ursprung der Emanationslehre bei den Kabalisten* (1786), czyli *O naturze i pochodzeniu nauki o emanacji u kabalistów*.

**Klinger Jerzy** — (ur. 15. IV. 1918, zm. 3. II. 1976) — ks. prawosławny, profesor teologii, działacz ekumeniczny, kierownik Katedry Prawosławnej Teologii Dogmatycznej i Moralnej w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, od 1972 r. aż do śmierci prorektor tej Akademii. Jest autorem wielu artykułów, przyczynków, esejów i książek teologicznych. M.in. napisał: *Na drodze do zjednoczenia chrześcijaństwa*. Materiały sesji naukowej ChAT poświęconej zagadnieniu ekumenicznym (1972, s. 75—76); Paul Evdokimow, *Prawosławie* (tłumaczenie z j. francuskiego (1964); *Delegacja Polskiego Ekumenicznego Soveta Cerkvej v gostiach u Roskoj Pravoslavnoj Cerkvi* (1965; s. 17—25 w Cerk. Vest. 12, nr 10); *Znaczenie liturgii w życiu chrześcijanina* (tamże, nr 3, 1965, s. 3—13); *O istocie Prawosławia* (Rocznik Teologiczny 1965, s. 302—317); *Zgubiona egzegeza dwóch wierszy z Ewangelii Marka* (roz. 14 w 51—52). Rocznik Teolog. 1966, s. 126—153; *Nurt słowiański w początkach chrześcijaństwa polskiego* Półrocznik ChAT 1967, s. 33—90; *Wśród chrześcijan Afryki*. Cerk. Vest. 14, 1967 nr 12, s. 14—19; 15: 1968 nr 1, s. 9—15; *Doktryna Krzyża i Zmartwychwstania według Rudolfa Bultmanna w konfrontacji z teologią Kościoła Wschodniego*. Roczn. Teol. 1968, z. I, s. 107—150; *Dwie postacie prekursorów prawosławnej odnowy* (I. Aleksy Chomiakow, II Włodzimierz Sołowjow). Znak 1968, nr. 199 170/7/8, s. 866—896; *O Teilhard de Chardin a tradycja Kościoła Wschodniego*. Życie i Myśl 1968, nr 6/7, s. 154—167; *Geneza sporu o epiklezę*. Eschatologiczny a memorialistyczny aspekt





**ARESZTOWANIE  
SEKRETARZA  
GENERALNEGO  
KOŚCIOŁA  
PREZBYTERIAŃSKIEGO  
TAIWANU**

Jak podaje służba prasowa z Taipeh (Tajwan), dnia 24 kwietnia br. został aresztowany przez miejscową policję wojenną dr Chung-Ming-Kao (51 lat), Sekretarz Generalny Kościoła Prezbiteriańskiego Tajwanu. Policja dokonała szczegółowej rewizji w siedzibie Sekretarza Generalnego, skonfiskowała jego archiwum prywatne razem z jego osobistymi notatkami i tekstami kazań.

Kościół Prezbiteriański Tajwanu, liczący przeszło 200 tys. wyznawców, od pewnego czasu znajduje się w konflikcie z władzami państwowymi z powodu ich ingerencji w sprawy wewnętrzne tego Kościoła. Aresztowanie Sekretarza Generalnego Kościoła stanowi jasną sprawą przykład polityki wyznaniowej rządu tajwańskiego.

**NOWY PREZYDENT  
JAPŃSKIEGO  
KOŚCIOŁA  
EWANGELICKO-  
LUTERAŃSKIEGO**

Na sesji Synodu Japońskiego Kościoła Ewangelicko-Luterańskiego w Osaka odbyły się wybory nowego prezydenta tego Kościoła. Został nim pastor Ben Mori (48 lat), który ukończył swoje studia w roku 1956 w Luterańskim Seminarium Teologicznym w Japonii. Pracował jako duszpasterz w kilku gminach luterańskich, a następnie był referentem spraw społecznych, prowadząc dział ewangelizacji. Jednocześnie Synod wybrał pastora Kunihiko Sato na stanowisko wiceprezydenta Kościoła oraz pastora Nozumu Utsumi — nowym szefem gospodarczym centrali Kościoła.

**WYMIANA  
PRZEDSTAWICIELSTW  
MIĘDZY WATYKANEM  
A GRECJĄ**

Jak informuje prasa wyznaniowa w dniu 12 czerwca br. odbyła się w Atenach i Watykanie uroczystość akredytacji przedstawicieli dyplomatycznych. W Atenach złożył prezydentowi Karamunliszowi listy uwierzytelniające pronuncjusz apostolski arcyb. Giovanni Moriani. W Watykanie listy uwierzytelniające złożył papieżowi ambasador Stephanos Ostatatos.

**WIZYTA W WATYKANIE  
PATRIARCHY  
PRAWOSŁAWNEGO GRUZZI**

Jak podaje prasa rzymskokatolicka, w dniu 6 czerwca br. papież Jan Paweł II spotkał się na audiencji z Katolikiem II Patriarchą Gruzi. W przemówieniach obu hierarchów podkreślono znaczenie tego spotkania dla Kościołów odczuwających troskę o odnowę życia chrześcijań-

skiego i uświadamiających sobie konieczność realizacji celów ekumenicznych, mimo istniejących od wielu stuleci smutnych i gorzkich faktów, które doprowadziły i doprowadzają do zapomnienia o braterstwie w Chrystusie.

W przemówieniu swym papież min. podkreślił, że wizyta Patriarchy Ilji jest pierwszym tego rodzaju wydarzeniem w Watykanie. Ze szczególną wagą Kościół Rzymskokatolicki przywiązuje do dialogu teologicznego między nim a wszystkimi autokefalicznymi Kościołami Prawosławnymi.

**PIERWSZE POSIEDZENIE  
MIESZANEJ KOMISJI**

W dniach od 28 maja do 4 czerwca br. na wyspach Patmos i Rodos odbyło się pierwsze spotkanie Mieszanej Komisji, w której uczestniczyło 60 członków — biskupów i teologów, reprezentujących Kościoły; Rzymskokatolicki i Prawosławny.

Na zakończenie spotkania, będącego rozpoczęciem oficjalnego dialogu teologicznego, opublikowano wspólny komunikat, podkreślający, że po wiekach podziału przeważył wreszcie duch braterstwa, umożliwiający tego rodzaju spotkanie.

Dialog teologiczny, jak głosi komunikat, został rozpoczęty w dniu 28 maja br. na wyspie Patmos, w klasztorze św. Jana, którego Ewangelia — zawiera wezwanie do jedności chrześcijan.

Poszczególne prawosławne Kościoły autokefaliczne powołały przy swoich synodach własne komisje do spraw jedności chrześcijańskiej.

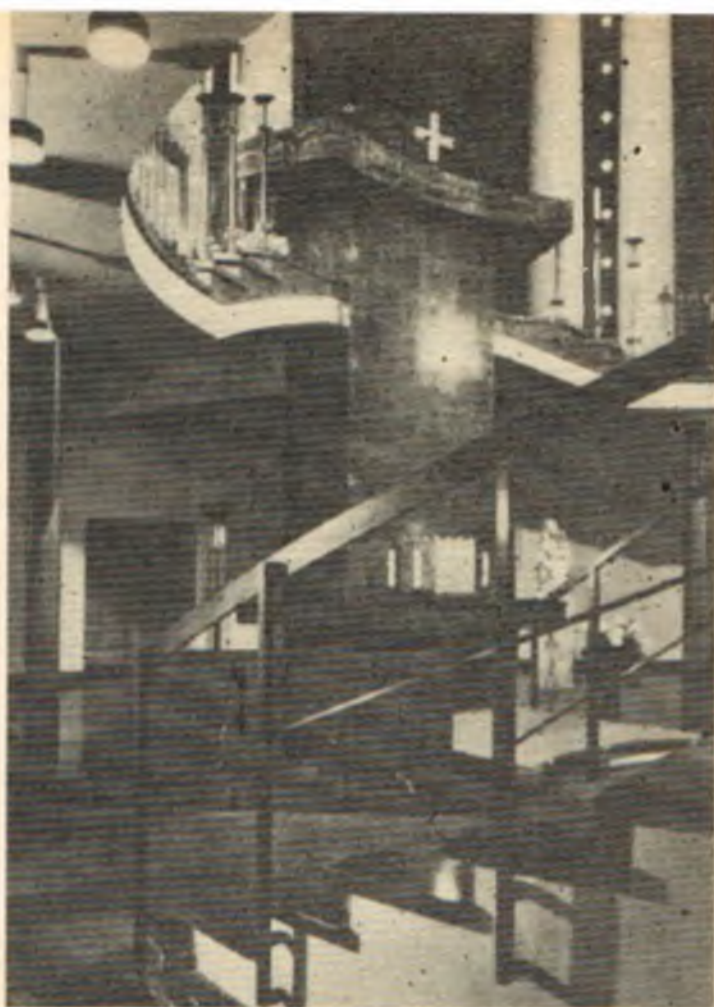
**SPRAWA JEROZOLIMY  
WG PROJEKTU  
KRÓLA MAROKA**

Sprawa uregulowania statusu politycznego Jerozolimy, jako miejsca świętego trzech wielkich religii: chrześcijaństwa, islamu i mozajizmu, nabrała rozgłosu po spotkaniu króla Maroka, Hasana II, z papieżem Janem Pawłem II.

Jak informuje biuletyn wiedeńskiej służby prasowej „Kathores”, Król Hasan II, będąc przewodniczącym tzw. Komitetu do spraw Jerozolimy przy Konferencji Krajów Arabskich, podczas wizyty u papieża poruszył sprawę uregulowania sytuacji tego miasta, proponując umożliwienie wyznawcom tych trzech wielkich religii monoteistycznych swobodnego wznoszenia modlitw do jednego Boga. Zdaniem króla, przy dobrej chęci stron zainteresowanych projekt kooperacji wyznań w Jerozolimie miałby szansę pozytywnego rozwiązania.

**ZGROMADZENIE  
GENERALNE  
WĘGERSKIEJ RADY  
EKUMENICZNEJ**

W bieżącym roku upłynęła kadencja Węgierskiej Rady



Wnętrze katedry pw. św. Jadwigi w Berlinie

Ekumenicznej. W związku z tym odbyło się w Budapeszcie Zgromadzenie Generalne przedstawicieli poszczególnych Kościołów członkowskich, wchodzących w skład Rady. Przewodniczył na sesji zgromadzenia, biskup Kościoła Reformowanego, dr Tibor Bartha i jednocześnie sprawozdawca z działalności prezydium Rady za 6-letni okres jej kadencji. Według opinii przewodniczącego Rady, biskupa T. Bartha, działalność ekumeniczna Kościołów członkowskich dobrze przyczyniła się do poznania istoty Kościoła, co wzbogaciło ogólnochrześcijańską myśl teologiczną. Zgromadzenie udzieliło absolutorium zarządowi Rady oraz wybrało na stanowisko prezesa ponownie biskupa T. Bartha, na sekretarza — prof. dr Karoly Prohlego z Kościoła Ewangelicko-Luterańskiego.

**ZJEDNOCZENIE  
EKUMENICZNE  
KOŚCIOŁÓW  
NA MADAGASKARZE**

W skład Rady Ekumenicznej Madagaskaru weszły ostatnio cztery największe Kościoły chrześcijańskie: Rzymskokatolicki, Episkopalny, Luterański oraz tzw. Kościół Jezusa Chrystusa. Ogłaszając zjednoczenie Kościołów Chrześcijańskich organizatorzy zapraszają do swego grona „Każdy Kościół, który uznaje Jezusa Chrystusa za Pana i Zbawiciela zgodnie z Pismem Świętym”. Sytuacja na Madagaskarze sprzyja bliskiej i skoordynowanej współpracy zrzeszonych w Radzie Kościołów.

**SPOTKANIE DELEGACJI  
SRK  
Z PRZEDSTAWICIELAMI  
WŁADZ ETIOPII**

Podczas pobytu w Addis Abebie delegacji kierownictwa Światowej Rady Kościołów miało miejsce spotkanie z władzami państwowymi Etiopii. Przedmiotem rozmów w czasie wizyty były bieżące problemy Kościołów chrześcijańskich Etiopii oraz stosunków wyznaniowych kraju. Reprezentanci rządu etiopskiego wyrazili min. życzenie, aby Kościoły chrześcijańskie, rozwijając swoją działalność wśród swoich wyznawców włączyły się aktywniej w życie społeczne Etiopii. Etiopskie organizacje kościelne oraz reprezentanci SRK zadeklarowali swój udział w gospodarczym rozwoju Etiopii.

**OBRADY KOMITETU  
WYKONAWCZEGO  
EKUMENICZNEJ RADY  
MŁODZIEŻY EUROPY**

Przedmiotem obrad, które odbyły się w Zagorsku, była ocena sytuacji politycznej we współczesnej Europie oraz mobilizacja chrześcijańskiej młodzieży ekumenicznej do wzniesienia działalności pokojowej. Uczestnicy obrad opracowali tekst listu apelu do organizacji studenckich i młodzieżowych w Europie, aby przeciwdziałali wzrostowi napięcia politycznego na świecie, podejmując każde działanie zmierzające do usunięcia nieufności między państwami, narodami a zwłaszcza młodzieżą. Obrady odbywały się w słynnym klasztorze Patriarchatu Moskiewskiego, patronującego działalności ekumenicznej młodzieży europejskiej.



Jakie są funkcje współczesnej rodziny? Czy pełni je ona tak, jak dawniej, a jeżeli nie, to co spowodowało, że rodzina współczesna jest inna niż rodzina dawna? Pytania te zadaje sobie wielu naukowców. Faktem jednak jest, że — podobnie jak zmieniły się współczesne warunki życia, tak samo musiała zmienić się i podstawowa komórka społeczna oraz jej funkcje.

Często spotykamy się ze stwierdzeniem, że funkcje współczesnej rodziny maleją, że zanikają jej funkcje wychowawcze. Trudno się jednak z tym stwierdzeniem zgodzić. Istotnie, funkcje rodziny współczesnej — w porównaniu do rodziny dawnej — bardzo uległy modyfikacjom, nastąpiło rozluźnienie więzi rodzinnej. Współczesna rodzina jest grupą małą, nie jak dawniej wielopokoleniową, jednak nadal jej wpływ na młode pokolenie jest ogromny. Ze względu na zmianę struktury społecznej, zmieniła się też struktura rodziny, która przekazała część funkcji instytucjom wychowawczym — szkole, domom kultury, świetlicom, środkom masowego przekazu itd. Jednak nadal rodzina stanowi dla młodego pokolenia pewnego rodzaju pomost, łączący je ze społeczeństwem, nadal ułatwia wprowadzenie dziecka w krąg kontaktów społecznych. Właśnie w rodzinie dziecko uczy się wartościowań, kształtuje poglądy i wreszcie, tak jak dawniej, zaspokaja swoje potrzeby.

Do funkcji rodziny tradycyjnie należy utrzymanie biologicznej ciągłości społeczeństwa, utrzymanie ciągłości kulturowej przez przekazywanie potomstwu języka, obyczajów, wzorów i norm postępowania oraz całego kulturalnego dziedzictwa poprzednich pokoleń.

Jak w każdej grupie, tak i w rodzinie, istnieje i jest przestrzegany pewien system norm i wartości. Ze względu na istnienie i przestrzeganie tego systemu norm możemy wyróżnić trzy rodzaje rodzin: rodzinę autokratyczną, demokratyczną i liberalną. Wychowanie w rodzinie autokratycznej polega na braku tolerancji, ścisłym przestrzeganiu norm regulujących zachowanie, stosowaniu represji i wymaganiu absolutnego posłuszeństwa i szacunku. Powoduje to u dziecka osłabienie inicjatywy, zanik życzliwych uczuć, lęk, nieufność, agresję, egoizm i zaburzenia emocjonalne. Ten typ rodziny był bardzo charakterystyczny dla rodziny tradycyjnej, gdzie władzę sprawował senior rodu. Obecnie ten typ coraz bardziej zanika, co jest zjawiskiem bardzo korzystnym, przekształcając się w formę rodziny demokratycznej — z punktu widzenia wychowawczego najbardziej pożądanej. Ten typ rodziny polega na tym, że normy istnieją, są przestrzegane, stosowane sankcje są przemyślane, rodzice liczą się z potrzebami dziecka, bierze ono aktywny udział we wspólnym rządzeniu domem, co w rezultacie powoduje jego lepsze przystosowanie się do życia społecznego. Dziecko w takiej rodzinie jest współpartnerem rodziców. We współczesnych rodzinach jest to styl przeważający, może jednak zdarzyć się i tak, że nadmierny demokratyzm przekształci się w styl liberalny. Jest on zjawiskiem niekorzystnym, i, niestety, dość często spotykanym. Właśnie panujący w rodzinie chaos, niezdecydowanie, brak konsekwencji, zależny od rodzimych humorów, powoduje powstanie negatywnych społecznie postaw i przekonań dziecka: jego agresję, złość, co doprowadzić może w przyszłości do zupełnego wykolejenia drcastającego dziecka.

Sprawa, która wiąże się ze stylem wychowawczym w rodzinie, jest problem ról i pozycji rodziców. Istnieje między rolą a pozycją ścisła zależność. Pozycja, jaką zajmuje jednostka, określa jej rolę i odwrotnie. Wraz z ewolucją rodziny zmianie uległy także role społeczne rodziców. W rodzinie tradycyjnej „głową” rodziny był ojciec, od niego zależały wszelkie decyzje. W rodzinie współczesnej, ze względu na fakt podjęcia przez matkę pracy zawodowej, zmieniła się także ich funkcja w rodzinie. Kobieta współczesna, tak jak i mężczyzna, jest współżywcicelką rodziny. Jest to bardzo często powodem konfliktów, gdyż wielu ojców tradycyjnie chce sprawować funkcję „głowy” domu, z czym nie zgadza się pracująca żona. Nadal jednak



## W kręgu spraw rodziny

# Funkcje współc

we współczesnej rodzinie rola ojca jest pierwszoplanową, mimo iż musi on we wszystkich sprawach liczyć się ze zdaniem żony-matki, która (także tradycyjnie) obejmuje czynności związane z podtrzymaniem zwartości rodziny, kultywacją tradycji, regulacją wzajemnych stosunków. Wyjątkowo niekorzystnie przedstawia się sytuacja, gdy w rodzinie gwałtownie nastąpi spadek autorytetu ojca na skutek np. niższych zarobków lub niższej pozycji zawodowej, co jest zjawiskiem dość powszechnym. Tradycyjnym jednak, i do dziś egzystującym, jest nadal fakt, że niwelatorem napięć i czynnikiem „łagodzącym wstrząsy” w rodzinie jest nadal matka.

Sprawa, której chciałabym poświęcić najwięcej miejsca, są wzajemne stosunki w rodzinie: między rodzicami, rodzicami a dziećmi i między dziećmi, gdyż stosunki te w największym stopniu warunkują pozytywne efekty wychowawcze.

Na to, jaki kształt mają stosunki w rodzinie, duży wpływ ma struktura osobowości — a więc postawy, opinie, zainteresowania, potrzeby itp. Jeśli są one zgodne, konflikty są rzadkie, a współżycie harmonijne. Istnieją także teorie głoszące, że w stosunkach międzyludzkich dużą rolę odgrywa czynnik dopełniania się partnerów. Bardzo ważnym czynnikiem przy kształtowaniu się stosunków między rodzicami odgrywają ich postawy emocjonalne, takie jak: miłość, przywiązanie, wspólne przeżywanie trosk i radości, skłonność do pomocy, poświęceń, rezygnacji z własnych potrzeb, bezinteresowność, utożsamianie się z partnerem. Rodzice zrównoważeni, zdrowsi psychicznie, łatwiej znoszą wzajemne ustępstwa. Niekorzystnie wygląda natomiast sytuacja rodziny, w której jest dużo długich i ostрых konfliktów, u podłoża których leżą negatywne postawy emocjonalne. Do czynników sprzyjających powstawaniu konfliktów między rodzicami należy zaliczyć: odmienne wyobrażenia o roli męża (żony), tradycyjnie wyniesione z obserwacji własnych rodziców, odmienne opinie i poglądy rodziców na tematy wychowawcze; zachowania determinowane tzw. warunkami trudnymi, np. zbyt wygórowane wymagania społeczne i nacisk, aby partner je realizował, brak zaufania, obawa przed szczerością i wreszcie — nieliczenie się z potrzebami drugiej osoby. Wymienione tutaj czynniki, które warunkują powstawanie konfliktów między rodzicami, są czynnikami we-







## czesnej rodziny

wewnętrzni, tkwiący w rodzinie. Jednak obok tych czynników wewnętrznych istnieją jeszcze inne, zewnętrzne, do których można zaliczyć: konflikty pozadomowe, niezadowolenie z pracy zawodowej, wzrastanie zachowań neurotycznych.

O efektach wychowania dziecka decydują charakter i formy stosunków między rodzicami a dziećmi. Bardzo ważne dla społeczeństwa przejście młodego pokolenia ze świata dzieci do świata dorosłych łączy się z wieloma trudnościami, i to zarówno dla młodzieży, jak i dla dorosłych — rodziców i wychowawców.

Konflikty występujące w rodzinie są nie tylko wynikiem osobowości rodziców. Często sposób, w jaki dziecko jest traktowane i podejścia do dziecka zalicza się: przyjęcie-odrzućcie dziecka, nadmierna akceptacja, obojętność, cofnięcie przyjęcia, niestałość uczuciowa rodziców i sytuacja, którą określa się jako konstelację rodzinną.

Dziecko przyjęte to takie, które jest otoczone opieką, zaspokajane są jego potrzeby — wówczas staje się ono aktywne, pewne siebie. Gdy zaś zaczyna być traktowane surowo, a rodzice mało o nie dbają, otaczają nakazami i zakazami, następuje odrzucenie dziecka. Przeżywa ono wówczas frustracje, czuje się zagrożone, niepewne, a jego samoocena z reguły jest negatywna. Zaczyna przejawiać wrogość, agresję, nieposłuszeństwo itp.

Nadmierna akceptacja polega na tym, że rodzice zaślepieni miłością do dziecka, akceptują je bezwzględnie. Dziecko takie nie ma żadnych obowiązków, ułatwia mu się wszystkie sprawy. Rodzice stosują w stosunku do niego taryfę ulgową i liberalny styl wychowania. Występuje to zwłaszcza w rodzinach jednodzielnych i dzieci utalentowanych. Takie jednak traktowanie dziecka zniekształca i wypacza jego osobowość — dziecko staje się szybko zarozumiałe, pewne siebie, oschłe uczuciowo i mało odporne psychicznie.

Gdy kontakt psychiczny z dzieckiem jest bardzo ubogi, gdy dziecko nie jest ani przyjęte, ani odrzućcone, gdy ma wszystko z wyjątkiem miłości rodziców, można mówić o postawie obojętnej wobec

dziecka. Takie traktowanie wywołuje u dziecka oschłość uczuciową, niezdolność nawiązywania trwałych kontaktów, nieufność do ludzi. Dziecko staje się agresywne, negatywnie nastawione do życia, chce imponować, zwracać na siebie uwagę, przy czym łatwo może ulec wykołejeniu. Często zdarza się też, że na skutek urodzenia drugiego dziecka zainteresowanie pierwszym maleje. Jest to cofnięcie przyjęcia. Dziecko stara się odzyskać dawną miłość, może stać się albo posłuszniesze, albo agresywne. W każdej takiej sytuacji następuje wypaczenie osobowości. Niestalość uczuciowa rodziców powoduje u dziecka zachwianie poczucia bezpieczeństwa, nasila lęk. W zależności od roli, jaką poszczególne członkowie mają w rodzinie, efekty konstelacji mogą być różne. Konstelacja bowiem ma miejsce wówczas, gdy jedno z rodziców dziecko przyjmuje, a drugie — odrzuca.

Wszystkie przyczyny konfliktów rodzinnych, które wymieniałam, tkwiły w rodzicach, ale przecież przyczyną konfliktów są także cechy osobowości młodzieży. Sama młodzież wymienia takie cechy, jak: lenistwo, chaotyczność, niesystematyczność, upór, nieposłuszeństwo, zawziętość, skrytość lub zbytnia szczerość, egoizm, apatia, brak wiary w siebie, arogancja — jako przyczyny własnych konfliktów w domu rodzinnym...

Jednak nie we wszystkich rodzinach kontakty między jej poszczególnymi członkami układają się źle. Znaczna część młodzieży uważa, że jej stosunki w domu są dobre, a wpływają na to przede wszystkim stosowane przez rodziców metody wychowawcze oraz cechy osobowości tak samej młodzieży, jak i jej rodziców. Do właściwych metod wychowawczych, stosowanych przez rodziców, młodzież zalicza: wyłączenie kar fizycznych, pozostawienie pewnej dozy swobody, okazywanie zainteresowania, traktowanie jak partnerów, dyskusje przy podejmowaniu decyzji. A więc — nie jest źle!

Współcześnie mnożą się opinie, że rodzina staje się coraz mniej atrakcyjna, że coraz więcej czasu ludzie spędzają poza nią. Jest to z jednej strony zjawisko bardzo niepokojące, zwłaszcza gdy chodzi o wychowawczą rolę, jaką powinna spełniać. Na czym więc polega zwartość rodziny, decydująca o jej atrakcyjności, i na czym może polegać owo rozluźnienie zwartości rodzinnej? Wydaje mi się, że atrakcyjność i zwartość rodziny charakteryzuje się tym, że w takiej rodzinie stwarza się wszystkim jej członkom możliwość swobodnego rozwoju, realizowania ważnych dla nich celów życiowych, zaspokajania podstawowych potrzeb. Gdy te wymogi są spełnione — nie może być mowy o „upadaniu” znaczenia i atrakcyjności rodziny!

Związek rodziny z otaczającym ją światem jest bardzo ścisły. Człowiek nie może żyć w oderwaniu od środowiska, od innych ludzi. Powinien więc umieć współżyć z innymi, w miarę bezkonfliktowo. A tego może nauczyć tylko dobra rodzina, i to nauczyć w najwcześniejszym okresie — a więc po prostu dobrze wychować dziecko. Tego się od niej wymaga przede wszystkim. To rodzina wprowadza dziecko w świat wartości kulturowych i społecznych, zaznajamia z pojęciami dobra i zła, pobudzając i kształtując jego postawę. Ona też kontroluje zachowanie się dziecka, uczy je właściwego stosunku do innych ludzi, do otaczającego je świata, do pracy i do siebie samego. Wszystko to składa się na trudny i odpowiedzialny proces, jakim jest wychowanie dziecka w rodzinie.

KRYSTYNA SZCZUTOWSKA







Fasada bazyliki w Kalat Seman w północnej Syrii: V w.

skiego, doktryny kultów misteryjnych, judaizmu i chrześcijaństwa. Ich głównym celem jest wyjaśnienie losów duszy. Pierwotnie przebywa ona w świecie niebiańskim. Kiedy zniży się do materii zostaje uwięziona w zmysłowym ciecie. Ale Bóg najwyższy, przejęty tragicznym losem duszy, postanawia uwolnić boskie iskry, zamknięte w więzieniu materii. W tym celu posyła na ziemię Zbawiciela, który, aby ludzie mogli go usłyszeć, przybiera postać człowieka, nie wcielając się jednak naprawdę, gdyż pierwiastek boski nie może zmieszać się ze złą materią. Przekazując im gnozę (wiedzę tajemną), Zbawiciel objawia ludziom ich prawdziwe pochodzenie. Dzięki temu zbawczemu działaniu dusza, uzyskując świadomość swej

## Pochodzenie i istota gnostycyzmu



chrześcijaństwo, które w pierwszych wiekach było porównywane ze sposobem myślenia i religijnymi formami hellenizmu, pragnęło się od nich odciąć. Ale od początku ulegało ich wpływowi, który umacniał się w miarę, jak poganizm zaczął coraz częściej przyjmować chrześcijaństwo.

W epoce, kiedy synkretyzm był prądem dominującym i niemal prawem życia religijnego, Kościół z trudem tego wpływu uniknął i konsekwentnie utrzymywał swój nieprzejednany monoteizm odziedziczony po judaizmie. Już w początkach istnienia chrześcijaństwa dostrzegamy prądy synkretyzujące. Starają się one wcielić chrystianizm do jakiejś większej wspólnoty religijnej, w której byłby on tylko jednym ze składników i która byłaby pogańska. Prądy te można znaleźć w podtekście niektórych ksiąg Nowego Testamentu jako siłę, której zwierzchnicy gmin chrześcijańskich starają się przeciwstawić. Św. Paweł apostoł w Liście do Kolosan oburza się na tych, którzy pod pozorem oddawania czci aniołom dają się opanować „elementom świata” (Kol 2,20), to znaczy bóstwom astralnym.

Tendencje synkretyzujące występowały jeszcze przed pojawieniem się chrystianizmu, w judaizmie, tworząc małe ugrupowania judeopogańskie, których oddziaływanie spozstrzegamy w środowisku gminy chrześcijańskiej w Koryncie.

Gnoza szerzyła się przede wszystkim w II wieku. Rozwinęła się wówczas w potężny prąd, rozgałęziła w mnóstwo sekt i stanowiła dla Kościoła bardzo poważne niebezpieczeństwo.

Kościelni pisarze starożytności dostrzegali w gnostycyzmie tylko herezję chrześcijańską o wielu obliczach. Wychodząc z założenia, że prawda musi być wcześniejsza od fałszu, który stanowi jej zniekształcenie, i że podana została w nauce Chrystusa i Apostołów, widzieli oni w mnogości systemów gnostycznych II wieku po prostu błędne interpretacje pierwotnej nauki chrześcijańskiej. Te różne odstępstwa, zrodziły się — ich zdaniem — ze skażenia chrześcijaństwa filozofia grecką. Ireneusz z Lyonu (ok. 140 r. — 202 r.), a po nim Hipolit Rzymski (zm. 235 r.), pierwszy egzegeta zachodni i wielki teolog, rozwijając tę tezę i starając się jej dowiedzieć, wiazali każdą z sekt gnostycznych z którąś szkołą filozoficzną. Wszyscy są na ogół zgodni, że twórcą gnostycyzmu jest Szymon Mag, o którym mowa w Dziejach Apostolskich i o którym, jako rywalu Piotra, wspomina literatura apokryficzna.

Naukowcy długo przyjmowali pogląd, że gnostycyzm jest błędną formą chrystianizmu.

Historyk Harnacka nadał tej tezie jej klasyczną postać, określając gnostycyzm jako radykalną hellenizację chrystianizmu. Podłożem gnostycyzmu widzi on nie tylko w filozofii, ale także w myśli religijnej i synkretyzmie epoki.

Dzisiaj trudno utrzymać taką koncepcję gnostycyzmu. Liczne prace, opublikowane głównie z początkiem bieżącego stulecia, które przeważnie były dziełami przedstawicieli szkoły komparatystycznej (Religionsgeschichtliche Schule), ukazały dużą złożoność zjawiska, jakim jest gnostycyzm, i dowiodły, że nie mógł on być zwyczajną herezją chrześcijańską. Aby go zrozumieć, trzeba go umieścić w ogólnej perspektywie. Wówczas widać, że gnoza nie jest wytworem chrystianizmu. Chrześcijański gnostycyzm wieku II jest tylko jednym z aspektów, tylko szczególnym przypadkiem rozleglejszego zjawiska. Stanowi etap rozwoju gnozy, która ze swojej istoty jest prądem religijnym niechrześcijańskim.

Istota gnozy zawarta jest w kilku twierdzeniach, które przybierają postać różnorodnych mitów występujących we wszystkich systemach gnostycznych. Przede wszystkim chodzi tu o teorię poznania (gnosis); w niej zawiera się definicja gnostycyzmu. Poznanie nie rodzi się z wysiłku myśli, lecz z objawienia, które spływa z góry. Ten, kto zostanie w ten sposób oświecony wie — jak głosi pewien tekst gnostyczny — „kim byliśmy i kim się staliśmy, gdzie byliśmy i gdzie zostaliśmy rzućmy, do jakiego celu śpieszymy i skąd zostaliśmy wykupieni, co to jest rodzenie się i odradzanie” (Klemens Aleksandryjski „Excerpta ex Theodoto 78). Objawiając człowiekowi jego prawdziwą naturę, gnoza obadacza go pewnością zbawienia. Przynosi, według słów Ireneusza „odkupienie człowieka wewnętrznego”. Uwalnia człowieka od niego samego, wyzwala go z niewoli zmysłów.

Inną cechą charakterystyczną gnostycyzmu jest zasadniczy dualizm, który pociąga za sobą radykalnie pesymistyczną koncepcję świata. Pomiędzy światem boskim, czy duchowym, a światem materialnym, czyli zmysłowym, istnieje przepaść. Ten dualizm występuje w dwóch formach. Gnoza typu irańskiego głosi odwieczny dualizm, który od początku przeciwstawia dwie zasady istniejące, światło i ciemność, Boga i wieczną materię. Natomiast według koncepcji typu syryjsko-egipskiej powszechny dualizm rzeczywistości jest wynikiem procesu tkwiącego w bóstwie. Pomimo odmiennego punktu wyjścia mity gnostyczne rozwijały się w ten sam sposób.

W niezwyklej liczebności sekt gnostycznych przejawiają się wpływy wielu prądów: hellenistycznej filozofii religii, dualizmu irań-

natury, zostaje uwolniona i będzie mogła wrócić do wyższego świata, z którego wyszła.

Takie elementy gnozy odnajdujemy, w różnych formach, w chrześcijańskich systemach gnostycznych II wieku. Z ich krytyką występowała tacy pisarze kościelni, jak Ireneusz, Hipolita i Epifaniusz (ok. 315 — 408 r.), którzy przeważnie znali literaturę gnostyczną. Przede wszystkim dzięki tym pisarzom znane są nam systemy gnostyczne. Ale te pisma patrystyczne, bardzo wrogie wobec przedstawianych doktryn, nie dają zapewne zbyt wiernego o nich wyobrażenia. Udało się jednak odtworzyć, co prawda w sposób fragmentaryczny i przybliżony, niektóre systemy gnostyczne. Poza tym w chwili obecnej znamy już trochę pism gnostycznych, które znaleziono w ostatnich dziesięcioleciach. Najważniejszego odkrycia w tej dziedzinie dokonano w roku 1945 w Nag Hammadi w Górnym Egipcie, gdzie zachowała się cała biblioteka gnostyczna z V wieku. Spośród pięćdziesięciu rękopisów, jakie się na nią składają, dotąd tylko część doczekała się naukowego wydania i przekładu z oryginału koptyjskiego. Publikacja ta w znacznym stopniu uściśla naszą znajomość gnostycyzmu.

Gnostycyzm stanowił dla Kościoła niebezpieczeństwo bardzo poważne i wielopostaciowe. Odcinając chrystianizm od jego korzeni biblijnych, od Starego Testamentu, pozbawiając Chrystusa jego realności materialnej, aby mu pozostawić tylko pozór człowieczeństwa, i odrzucając wcielenie, gnostycy odbierali chrystianizmowi charakter religii historycznej. Sprowadzali go do spekulacji nie mającej konkretnego punktu oparcia, dość bliskiej abstrakcji, na jakich zbudowane były kultury misteryjne.

Gdyby gnostycyzm zdobył przewagę, prawdziwy chrystianizm rozplynąłby się w otaczającym go synkretyzmie. Ten typ mistycyzmu bowiem, na jaki powoływali się gnostycy, był bardzo blisko spokrewniony z mistycyzmem kultów misteryjnych, a ogólniej, z pogańską religijnością tej epoki. Jest rzeczą charakterystyczną, że wśród pism składających się na gnostyczną bibliotekę w Nag Hammadi znaleziono teksty literatury hermetycznej; pomimo swojej teoretycznej ekskluzywności i ezoterycznej atmosfery, w której lubowali się gnostycy, reprezentowały one jednak jakiś aspekt prądu synkretycznego.

Kościół wyszedł z kryzysu gnostycznego wzmocniony w swoich podstawach teologicznych i w swej organizacji. Oparłszy się na dokładnie określonym kanonie Pisma Świętego, na doktrynie jasno sformułowanej tradycji apostoelskiej, na hierarchii, nadał bardzo wyraźny kształt pojęciu ortodoksji.



# Jędrzejowskie zegary

W miasteczku Jędrzejów, między Kielcami a Krakowem, znajduje się jedno z nielicznych w świecie muzeum gnomiczne. Gnomika to dział wiedzy dawnych astrologów, a gnom to po prostu zegar słoneczny, czasomierz znany już w Egipcie i Babilonii dobre 3.000 lat przed naszą erą.

W roku 1868 osiadła w Jędrzejowie rodzina Przytkowskich — ludzi światłych i postępowych. Po swoim dziadku — Janie Józefie, studencie uniwersytetu praskiego, profesorze krakowskiej Akademii Jagiellońskiej, odziedziczyła w rynku dom i bogatą bibliotekę astronomiczną, która właśnie stała się zalążkiem dzisiejszych zbiorów. Następny z pokolenia, Feliks Przytkowski, który w roku 1895 rozpoczął w Jędrzejowie swoją praktykę, wstawił się tym, że biednych leczył za darmo, natomiast za honorarium pobierane u ziemian i bogatego kupiectwa, kupował stare książki astronomiczne i słoneczne zegary, zresztą sam je również konstruował według własnych obliczeń. To „słoneczne” hobby prowincjonalnego lekarza sprawiło w końcu, że o Jędrzejowie głośno jest w kołach krajowych i zagranicznych muzealników, że na rynku przed pięcioma kamieniczką z dachem ozdobionym zieloną kopułą prywatnego obserwatorium astronomicznego zatrzymują się wycieczkowe autokary, wiozące gości z całego świata.

O randze i sławie jędrzejowskiego muzeum wymownie świadczy fakt, iż przed kilkoma laty jeden ze światowych luminarzy nauk, lord Nathan of Churt — prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego Anglii — wyraził swój nieklamany zachwyt dla kolekcji tych cacek i pietyzmu, z jakim zostały zgromadzone. Po zwiedzeniu muzeum jędrzejowskiego uczony brytyjski zabrał ze sobą obszerną informację o zbiorach, celem umieszczenia jej w angielskich podręcznikach geograficznych.

Muzeum w rynku stało się przed kilkunastoma laty placówką państwową. Przekazania zbiorów na rzecz państwa dokonał syn i spadkobierca uczonego lekarza, zmarły w grudniu 1976 r. dr Tadeusz Przytkowski, historyk sztuki i jeden z najbardziej znanych współcześnie w świecie konstruktorów zegarów słonecznych. On też pełnił funkcję kierownika muzeum i sprawował nadzór nad jego dalszą rozbudową.

Wróćmy jednak do starego budynku i do sal muzealnych. Oglądamy zbiory — blisko 1.500 eksponatów według inwentarza, w tym 300 słonecznych zegarów i sekstansów, kolekcja oceniana przez znawców na ok. 6.000.000 dolarów. Są tu wyroby znakomitych mistrzów francuskich, rosyjskich, staroperskich, włoskich, czeskich, chińskich, niemieckich, tureckich, arabskich i polskich; są także mapy i księgi gnomiczne. Jest też galerijka portretów z różnych epok i zacna biblioteczka astronomiczno-gnomiczna z takimi dziełami, jak np. pierwodruki Kopernika, Heweliusza, Keplera, Komenskigo, starojapońskie i arabskie mapy, perskie „kalendaria”, przeróżne horologia. Są przyrządy, którymi dokonywano pomiarów nieba i czasu, i przyrządy, którymi posługiwano się przy sporządzaniu tamtych przyrządów. Są najnowsze klepsydry piaskowe rodem z USA, Japonii, Francji, Anglii stosowane do mierzenia czasu..., gotowania jaj na miękko, a które wiecznie wędrujący po świecie gospodarz skrzętnie zewsząd do domu zwoził i gromadził.

Kiedy w roku 1895 doktor medycyny Feliks Przytkowski po raz pierwszy zamiast honorarium lekarskiego poprosił o podarowanie mu poniewierającego się na strychu dworku w pobliskich Działoszycach zegara słonecznego, zdziwienie gospodarza nie miało granic. Bez sprzeciwu wręczył lekarzowi to zakurzone cacko, które — jak się potem okazało — było dość cennym unikatem chronometrii słonecznej. Przyrząd ten pochodził z końca XVII w., a skonstruowany został przez berlińczyka Joachima Stegmana, autora najlepszego wówczas podręcznika literatury i rektora Akademii Braci Polskich w Rakowie.

Najcenniejszy eksponat jędrzejowskiej kolekcji nabyty został w roku 1912, u monachijskiego antykwiariusza Jakuba Rosenthala. Jest to zegar gwiazdny, z hebanu, w czarnej oprawie, wykonany w roku 1594 przez słynnego Piotra Apianusa. Jest też w zbiorach jędrzejowskich zegar złożony z roku 1590, który wykonał Erazm Ha-

bermel, nadworny astrolog Habsburgów, i piękny zegar-armatka z mosiądzu, należący niegdyś do króla Stanisława Leszczyńskiego. Ten ostatni zegar ma niespotykane właściwości, mianowicie: gdy na lunetkę działa pada w południe promień słoneczny, strzela prochem na wiwat.

Sensacyjne są dzieje zdobycia chińskiego zegara słonecznego. Było to w roku 1904. Zjawił się wtedy w Jędrzejowie kupiec chiński z długim warkoczem. Fama głosiła później, że był to szpieg japoński. Feliks Przytkowski kupił od niego nie tylko sztukę jedwabiu, ale za słoną zresztą zapłatą — ciekawy okaz zegara słonecznego: podobno wskazuje on, kiedy rządzą dobre lub złe duchy interesów!

Kunszt fabrykowania małych zegarów słonecznych odżył w latach ostatniej wojny. W zbiorach Przytkowskich znajdują się zegary słoneczne, którymi posługiwali się Rosjanie, Amerykanie, Japończycy i Niemcy w latach II wojny światowej. W warunkach tropikalnych, podbiegunowych mrozach, w strefie silnie działających fal magnetycznych, kiedy schaffhauseny, omegi i cymy odmawiały posłuszeństwa, zegary słoneczne „chodziły” bez zarzutu.

Mimo że okres największej świetności zegarów słonecznych przypada na przełom XVI i XVII wieku, to i dzisiaj, w drugiej połowie XX wieku, cieszą się one w świecie popularnością nie tylko jako osobliwość, ale także ze względów użytkowych. Nie tak dawno dr Tadeusz Przytkowski skonstruował 8 wielkich zegarów słonecznych dla słynnego obserwatorium Greenwich pod Londynem, a także naprawił stary zegar w Besancon (Francja), ulegając prośbom tamtejszych fabrykantów zegarków, którzy ponoć według tego właśnie niezawodnego czasomierza słonecznego sprawdzają najdokładniej precyzję obecnie przez siebie produkowanych chronometrów.

Jeśli będziecie kiedyś w Jędrzejowie, odwiedźcie kamieniczkę Przytkowskich, przy rynku „pod ósmym”. W księdze pamiątkowej zostawili tu swoje dedykacje m.in. Maurice Maeterlinck, Jules Romain, Konstanty Paustowski, John Steinbeck, a zmarły przed laty polski poeta Władysław Broniewski, zachwycony niepowtarzalnym klimatem tego osobliwego muzeum, rzucił na papier drobnym piśmem słynny wiersz:

Biją słoneczne zegary

w Jędrzejowie,

I mnie i innym, i Tobie

biją zegarowie...

Piękny wiersz, tylko, że słoneczne zegary są... milczące.

ANNA LASKOWSKA







## NIE SPO DZIAN KA



Z porannym słońcem sierpniowego ranka  
wybiegnę na łąkę, nie opodał lasu —  
Narwę kwiatów na bukiet do dzbanka  
— mamie do pokoju wstawię bez hałasu...

Jeszcze chabry, i maki, i zboże złociste  
będą się w rosie przeglądać, dojrzewać,  
i powietrze będzie tak błękitnie czyste,  
gdy ja ze skowronkiem zacznę piosnki śpiewać...

A kiedy powrócę do domu z bukietem —  
w domu zaczną wtedy dziać się cuda:  
Mama spędzi dzień cały, do końca, z uśmiechem  
— niespodzianka moja mi się wtedy uda!

Muszę się wam przyznać — lubię śmiech mej mamy!  
Dźwięczny śpiewem, miłością, pełen wiosny...  
Bo po prostu — jak ona jest kochany,  
I — podobnie jak ona — jest radosny...

E.R.

## LEGENDA O PIEŚNI

**K**iedy całutki świat był już stworzony, skończony, gotowy — każdy przyznać musiał, że jest bardzo piękny. Pośród falujących mórz rozrzucony był ład koloru czekolady, na łądzie usypa- ne były góry i posadzone lasy. Szczyły gór przysypane były puchem śnieżnym, podnóża wysłane miękką trawą, utkaną kwiatami białymi, niebieskimi, żółtymi i czerwonymi.

W lasach było wiele rozmaitych zwierząt, małych i dużych, wcale do siebie nie podobnych. Na drzewach ptaki wily swe mieszkania, a same pływały w powietrzu na żeglach z różnobarwnych piór. Królem ptaków był orzeł.

Nie wiedzieli ludzie, że orzeł tak wysoko fruwa, aż powyżej księżycy, słońca i wszystkich gwiazd. Orzeł nie mógł powiedzieć, bo nie miał wcale głosu, jak nie mieli głosu ani zwierzęta, ani lasy, ani morza, ani ludzie. Wszystko było tak samo piękne jak dziś, tylko ciche, nieme, więc smutne.

Razu pewnego wzbili się orzeł tak wysoko, że aż dofrunął do nieba. Patrzy, a tu aniołowie zbrali się i na coś czekają. Jeden anioł przyniósł złotą skrzynkę, otworzył ją brylantowym kluczem i wyjął sznur pereł: rozwiązał jedwabny sznurek i zaczął wszystkim aniołom perły rozdawać. każdemu po jednej. Wielki był przy tym porządek, żaden z aniołów nie pchał się, nie kłócił, nie skarżył i nie krzyczał:

— Mnie — mnie — mnie!

A orzeł patrzy zdziwiony, bo nie wie, co z tego będzie. Kiedy perły były rozdane, aniołowie usiedli na ławkach, każdy umieścił w anielskim gardziółku otrzymaną perłę — i zaczęły się śpiewy. Ach, jakie to było cudowne! Orzeł płakał i śmiał się

z radości, a kiedy wrócił na ziemię, było mu strasznie smutno, nic go nie bawiło: ani wysokie skały, ani kołysanie się morza, ani mieniące się gwiazdy, ani śnieg lśniący — myślał tylko o złotej skrzynce, gdzie były schowane perły pieśni.

„Ukradnę je” — pomyślał wreszcie.

Zauważyły ptaki, że ich król jest smutny, że stracił apetyt i sen, chowa się po dzikich szczytach i często na długo gdzieś znika — i tym smutniejsze były, że nie mogły ani pomówić o tym, ani zaśpiewać, bo były nieme.

Aż zakradł się orzeł do nieba, a kiedy aniołowie spać się pokładli, dziobem i pazurami otworzył skrzynkę, aż dziób mu się skrzywił, wygięły i pokrwawiły pazury — porwał sznur pieśni i dalejże na ziemię. Ale czy o gwiazdę zahaczył, czy przepalił o słońce, dość że pękł sznurek jedwabny i perły jak deszcz się posypały.



Jedna perła padła w morze i morze śpiewać zaczęło, druga padła w las — i las zanucił pieśń, i zaszemrał strumień, i gadały góry.

Ptaki myślały, że to muszki padają, i najczęściej pochwytały małych perlesek i teraz najczęściej śpiewają.

Na progu chaty siedział chłopiec i dmuchał w drowienko, w którym dziurki powywiercał — i nagle w jedną dziurkę wpadła perłka pieśni i fujarka nucić zaczęła. Ucieszył się chłopak i po raz pierwszy zawołał:

— Ach, jak pięknie!

Największą perłę pochwycił orzeł i ukrył w szczelinie. Ale źle sumienie nie dawało mu spokoju. Księżyc, gwiazdy i słońce wołały nań ciągle:

— Złodziej! Ukradł! Złodziej!

Orzeł darował ostatnią perłę słowikowi, słowik dał ją jaskółce, a jaskółka człowiekowi.

Trzy dni tylko były anielskie perły na ziemi, bo roztopiły się i w mgłę wieczornej uniosły się znów do nieba.

Ale już człowiek nauczył się naśladować głosy wszystkich pereł: i tej z morza, i tej z gór, i tej z lasów — bo taka była moc największej perły.

Od tej pory orzeł nie wzbija się już tak wysoko, ma krzywy dziób i zakręcone pazury, słowikowi wolno śpiewać tylko po zachodzie słońca, jaskółce pozwalają ludzi mieszkać w swojej chacie, a człowiek pieśnią, która naśladuje wszystkie głosy i towarzyszy mu w smutku i w weselu, przy pracy i w boju.

Należy kochać i szanować pieśń, bo pochodzenie jej anielskie; dało nam ją poświęcenie królewskie i przywiązanie wiernej, małej ptaszyny.





...tak, to już prawie koniec wakacji... Wszystko, co ma początek, ma też i swój koniec. Trzeba będzie pomyśleć już wkrótce o szkole, o zapomnianych w czasie letnich wrażeń koleżankach i kolegach, i o nauce! Ale póki co, to jeszcze przed nami okragły tydzień swobody, szaleństw i zabaw... To dziwne, ale właśnie koniec wakacji pozwala na stwierdzenie, że są one za krótkie! Bo na początku, zaraz po ostatnim dzwonku, wcale nie odczuwa się dobrodziejstwa tego letniego wypoczynku. Tylko zbliżający się koniec każe nam żałować, że to już, że dopiero w przyszłym roku są następne wakacje...

Ostatni tydzień wakacji... Siedzimy prawie cały miesiąc wśród mazurskich, przepięknych jezior, i wydaje się nam, że mogłoby to trwać wiecznie. Słońce, las, cisza, błękitna toń jezior i wieczorne dymy ognisk, przy których zbieramy się, by śpiewać, opowiadać, żartować... A łagodne fale niosą hen, w dal, tęskne słowa obozowych piosenek:

„I choć nas dzieli  
może tysiące wiosek i mil,  
nie zapominaj  
razem spędzonych chwil —  
tę leśną serenadę śpiewam dla ciebie...”

Zapomnieć te wakacje?! Nigdy! Będę je pamiętała jeszcze przez długi, długi czas. Jak można zapomnieć coś pięknego i niepowtarzalnego, coś, co może przytrafić się tylko w wakacje? Ciekawi jesteście, co mi się takiego przydarzyło w czasie wakacji? To posłuchajcie.

Trzy tygodnie temu po raz pierwszy w życiu wyjechałam na obóz harcerski. Przygotowywałam się do niego właściwie przez cały ostatni miesiąc szkoły, i wprost nie mogłam się doczekać dnia wyjazdu. Cały nasz zastęp „Szarotek” — to moje najlepsze koleżanki, a drużna zastępowa jest najfajniejszą z dziewcząt, jakie znam. Na ostatnich zbiórkach uczyłyśmy się najprzeróżniejszych rzeczy, mogących się nam przydać na obozie. A miejscem naszego obozu miała być niewielka wioseczka, położona nad Wigrami, a właściwie jej poblizko — skraj pięknego lasu

Uczyłam się więc pilnie jak rozbijać namiot, jak czyścić patelnię piaskiem i wodą, jak rozpalać ognisko i wielu innych, ciekawych i pożytecznych rzeczy. Doskonaliłam też swoje umiejętności pływackie, bo przecież jechałyśmy na jeziora — i jak tu nie umieć pływać? Wszystkie koleżanki umiały pływać już dawno, tylko ja jedna jeszcze do niedawna bałam się wody i za żadne skarby na świecie nie chciałam wejść do basenu. Poświęciłam się jednak dla dobra obozowej sprawy, i — chcąc nie chcąc — nauczyłam się pływać. Okazało się, że pływanie nie sprawia mi dużo trudności, a wkrótce nawet je polubiłam. Tak więc do obozu byłam przygotowana doskonale, pozostawało tylko czekać, a tego nie lubię najbardziej.

Wyjeżdżałyśmy raniutko, mając doskonałe humory, ze śpiewem na ustach i promiennymi uśmiechami na zaspianych jesz-

cze trochę buziach. Nie odstraszała nas pogoda — było chłodno, ciemne chmury nie wróżyły słonecznego dnia, lecz przeciwnie — zapowiadały „opady ciągłe” z niewielkimi przejaśnieniami...

Pociągami dojeżdżałyśmy aż do Mikołajek, a stamtąd — na dalszą drogę wyruszyłyśmy już autobusem. Obładowane plecakami, siatkami i „potrzebnymi” drobiazgami — wyglądałyśmy jak wielbłądy. Na miejsce obozu dotarłyśmy pod wieczór. Padał drobny deszcz, a od pobliskiego jeziora wiał nieprzyjemny wiatr, było zim-

## KONIEC WAKACJI



no i trochę ogarnął nas strach. Dokoła ani żywego ducha — tylko szumiący las, jeziora i my. Poganiane przez druhną wzięłyśmy się rażno do pracy nad rozbiciem obozu. Zrobiło nam się trochę cieplej, więc już wkrótce odzyskałyśmy humor i zapał. Pierwsza noc upłynęła nam spokojnie — i nie dziwnego, bo zmęczone całym dniem zapadłyśmy w kamienny sen...

Ranek wstał nad podziw piękny, a już za parę godzin okazało się, że w poblizu rozbili obóz harcerze z Krakowa. Zaczęły się sąsiedzkie pogaduszki, wzajemna pomoc w wielu drobnych rzeczach i wspólne spędzanie wolnych chwil. A pogoda — była wymarzona! Codziennie rano, w południe i wieczorem gnałyśmy nad brzeg jeziora. Myłyśmy się, kąpały — poznałam wtedy zaczarowany urok wody — czułam się w niej już prawie jak ryba... Niedaleko była też przystań wodniaków. Mogłyśmy (te z nas, które miały karty pływackie) wypożyczać rowerki wodne i wypływać nimi trochę dalej. Chłopcy z sąsiedniego obozu natomiast, trochę starsi od nas, wypożyczali kajaki, na które zapraszali nas.

Nie zapominałyśmy też o lesie. Tyle przepięknych jeżyn, jagód i grzybów, co w tych mazurskich lasach, jeszcze nie widziałam! Szkoliłyśmy się w podchodach, poznawałyśmy tajniki leśnych ostępów i najmniejszych mieszkańców lasów. Byłyśmy za pan brat z każdym krzaczkiem i kamyczkiem w promieniu kilku kilome-

trów od naszego obozu. Pomagałyśmy też trochę mieszkańcom tych okolic w ich pracy — zwoziłyśmy siano, ustawione przedtem w równiutkie kopki, pilnowałyśmy czasem dzieci. Nie miałyśmy ani chwili, ani minutki czasu na to, żeby się nudzić!

Najpiękniejsze jednak były wieczory. Zgromadzeni przy ognisku — nasi koledzy z sąsiedniego obozu, pobliscy mieszkańcy i my — potrafiłyśmy siedzieć przy nim do późnej nocy! Grom, wierszom, śpiewom i opowiadaniom nie było końca... Las cicho szumiał, nawet komary widać odczuwały jakąś radość z naszej obecności, bo mniej cięły, trzaskały gałązki ogniska. Płynęły opowieści — starsi mieszkańcy tych okolic, smętnie kiwając głowami przypominali nam i sobie swoją młodość, jakże odmienną od naszej, jakże tragiczną... Niejednej z nas łza wymknęła się spod powiek, niejeden z opowiadających milkł później na dłuższy czas, a nikt z nas nie śmiał przerwać tej ciszy... Były też opowiadania o naszych poprzednikach — tych, którzy przyjeżdżali tu przed nami — jacy byli, jak oni się bawili, w czym pomagali...

Tak minęły nam trzy wspaniałe, króciutkie tygodnie. Jaka szkoda, że dzień ma tylko 12 godzin — gdyby miał ich 24, też byłoby to chyba mało! A dzisiaj jest już jeden z ostatnich naszych wieczorów. Nasi sąsiedzi przygotowali nam niespodziankę — pożegnalny bal leśnych duchów! Przystrojeni w fantazyjne stroje z kory, liści i tataraku byli najcudowniejszymi gospodarzami! Były pieczone na rozgrzanych kamieniach ryby i pełne miski pachnących leśnych jeżyn. Żegnaliśmy się długo, wymieniając adresy, dzieląc się wrażeniami i planami na przyszłe wakacje. Obiecywałyśmy sobie wzajemnie spotkanie w przyszłym roku — też na mazurskich jeziorach. A w międzyczasie — listowne spotkania i dzielenie się kłopotami i radościami całego roku. Dobrze po północy rozległo się nasze chóralne, głośne czuj — czuj — czuwaj! Przed nami — czekanie na następne wakacje!

E. L.





# POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

## WIELKA SCHIZMA ZACHODNIA

Słuszność postulatów, aby Kościół wrócił do ustroju soborowego, potwierdziła wielka schizma zachodnia. Nazywamy ją wielką, gdyż o tron patriarszy w Rzymie biło się na raz aż trzech papieży. Takie schizmy na Zachodzie trafiały się już dawniej, ale trwały krótko i kres im kładli prawie natychmiast cesarze. Tym razem doszło do dłuższego rozłamu w patriarchacie zachodnim, ze szkodą nie tylko dla stolicy patriarszej, lecz także dla wiary chrześcijańskiej w ogóle.

Papież Urban VI, który zasiadł na stolicy biskupiej w Rzymie zaraz po zakończeniu tzw. niewoli awiniońskiej, otoczył się wyłącznie kardynałami pochodzenia włoskiego, zaś Francuzów ignorował. Francuzi przyzwyczajeni do własnego patriarchy, wypowiedzieli posłuszeństwo biskupowi w Rzymie i wybrali własnego papieża w Awinionie. Śmierć rywali nie zakończyła schizmy, gdyż na ich miejsce wybrano znowu dwóch papieży.

Patriarchę rzymskiego uznawały Włochy, Niemcy, Węgry, Anglia i Portugalia, zaś awiniońskiego Francja, Hiszpania i Szkocja. Polska na razie nie była zdecydowana, którego papieża uznać. Rozłam i wzajemne wyklinalenie się papieży sprawiło, że wielu ludzi kochających Chrystusa wzywało do położenia kresu zgorzeniu. Najsilniej domagały się zwołania soboru uniwersytety. Kardynałowie obu frakcji zwołali taki sobór do Pizy w 1409 roku. Uczestnicy zjazdu działając może zbyt gwałtownie, złożyli z tronu obydwóch papieży i wybrali nowego. Decyzji soboru pizańskiego, zwanego od słynnej wieży „Krzywym”, nie uznali dotychczasowi patriarchowie w Rzy-

mie i Awinionie, co sprawiło, że schizma jeszcze bardziej się pogłębiła, gdyż doszedł trzeci papież. Trzeci papież osiadł w Bolonii.

Teraz na stronę zwolenników koncyliaryzmu, czyli wyższości soboru nad papieżem, przeszli nawet władcy europejscy, chociaż tepili u siebie wszelkie demokratyczne prądy. W tym czasie Niemcy utrzymały władzę uznawanego w całych Niemczech. Był nim Zygmunt Luksemburczyk — król Węgier. Jemu przypadło w udziale odegranie głównej roli burzyciela schizmy. Zygmunt uznawał papieża pizańskiego Jana XXIII, który był bardziej świeckim zabijaką niż biskupem. Zygmunt wpłynął na Jana XXIII, aby zwołał Sobór do Konstancji w 1414 roku.

Zjazd w Konstancji nad Renem trwał trzy lata. Otworzyła go rewolucyjna jak na te czasy uchwała, odczytana przez polskiego delegata, biskupa Andrzeja Laskarza, stwierdzająca że: „Sobór ma władzę bezpośrednio od Boga i każdy, nawet papież, zobowiązany jest pod grozą kar mu ulegać. Papież nie ma prawa bez zezwolenia soboru ani rozwiązać go, ani zawiesić, ani przenieść”.

Uchwałę przyjęto jednomyślnie, a więc zyskała moc dekretu soborowego. Był to ogromny sukces koncyliaryzmu. Sobór w Konstancji zażądał ustąpienia wszystkich trzech papieży. Jan XXIII początkowo sądził, że on zostanie uznany jedynym papieżem jako pizańczyk, ale gdy spostrzegł iż szanse ma niewielkie, uciekł z Konstancji. Ostatecznie papież: pizański i rzymski podporządkowali się decyzji soboru. Awinioński uciekł do hiszpańskiej twierdzy i zamknął się w niej z garstką zwolenników ogłaszając, że jak niegdyś cała ludzkość mieściła się w arce Noego, tak w tej chwili Kościół prawdziwy stanowią tylko jego poddani, a reszta chrześcijan skazana jest na zatracenie.

Ojcowie soborowi po dokonaniu depozycji trzech dotychczasowych papieży, zgodzili się jednomyślnie na ich miejsce wybrać Marcina V, którego uznali wszystkie katolickie kraje. Tak trwająca blisko czterdzieści lat wielka schizma została zakończona. Marcin V osiadł w Rzymie.

Jedyny cień rzuca na uczestników obrad soboru w Konstancji wydanie wyroku śmierci na Jana Husa, za jego poglądy religijne.

KSIAŻDZ ŁUKASZ

**W**ielu, przeczytawszy ten tytuł, zachnie się i powie: ale przesada!

Niestety, zgubny wpływ alkoholu na człowieka potwierdzają badania naukowe. Współczesna nauka potwierdza nie tylko doraźny negatywny wpływ alkoholu, objawiający się wkrótce po spożyciu go w większych ilościach, lecz także różnorodne, długotrwałe skutki pijaństwa, o wiele bar-

kim wódki, co wpływa znacznie na zwiększenie ujemnych skutków pijaństwa.

Społeczne skutki nadużywania alkoholu pogłębia też fakt, że mamy u nas do czynienia ze znaczną koncentracją spożycia. Liczbę osób pijących nadmiernie, tj. 12 litrów czystego spirytusu rocznie, a więc przeszło dwa litry wódki miesięcznie, ocenia się na 4,3 mln. Spora ich część uzależniona jest od alkoholu przynajmniej psychicznie, zaś jak się przypuszcza — blisko milion osób



późnym etapie następuje osłabienie mięśni kończyn, a nawet tułowia.

Najdotkliwszy, i to z ogólnospołecznego punktu widzenia, jest ujemny wpływ alkoholu na zdrowie psychiczne. Zaburzenia w tym zakresie są powodem psychicznej i społecznej degradacji wielu alkoholików.

Alkoholizm jest jedną z najpowszechniejszych przyczyn konieczności leczenia w zakładach lecznictwa psychiatrycznego. Blisko czwarta część mężczyzn objętych leczeniem w tych placówkach trafia tam właśnie z powodu zaburzeń, będących wynikiem nadużywania alkoholu.

Największe spustoszenie alkoholizm czyni jednak w życiu rodzinnym. Jego ujemny wpływ jest zresztą w tym przypadku nader różnorodny — materialny, moralny, dotyczący wychowania dzieci i współżycia małżonków. Wydatki na wódkę w rodzinach alkoholików powodują znaczne obniżenie stopy życiowej. Statystyczny dorosły mieszkaniec Polski przeznaczając na ten cel już ok. 6 tys. złotych rocznie. W skali całego kraju kwota ta przekracza 140 mld zł. Nie więc dziwnego, że alkoholizm uznawany jest od dawna za przejaw patologii społecznej o wyjątkowo dotkliwych skutkach. Zapobieganie przyczynom i rezultatom nadużywania alkoholu uważa się za niezbędne.

REGINA KOWALCZYK

## ALKOHOL ZABIJA CZŁOWIEKA

dziej groźne. Wiadomo, że nadmierne spożywanie napojów alkoholowych niszczy organizm, powoduje znaczne, trwałe zmiany psychiczne, a pośrednio przyczynia się do paraliżu życia społecznego i rodzinnego, przysparzając ogromnych strat materialnych. Pomimo to na całym świecie, w tym także i w naszym kraju, występuje stały wzrost spożycia alkoholu. W Polsce w latach 1960—1978 spożycie to zwiększyło się z 3,8 do 8,4 litra czystego spirytusu w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Spożycie to dalej rośnie. W dodatku ponad 70 procent tej ilości alkoholu jest spożywane w postaci wysokoprocentowych trunków, a więc przede wszyst-

także fizycznie. Są to więc ludzie chorzy. Znaczna grupa spośród nich — alkoholików w medycznym znaczeniu tego słowa, tj. osób z zespołem chorobowym polegającym na konieczności stałego używania alkoholu — wymaga leczenia odwykowego. Ale nawet u tych, o których nie można jeszcze powiedzieć, że są alkoholikami, a tylko, że alkoholu systematycznie nadużywają, występuje znaczne pogorszenie stanu zdrowia.

Jak wykazują badania, ludzie nadużywający alkoholu żyją krócej przeciętnie o 10—12 lat. Na skracanie przeciętnej długości ich życia wpływ mają zarówno stosunkowo częste wśród alkoholików samobójstwa oraz wypadki upojenia alkoholowego, a wśród nich szczególnie groźne społecznie wypadki spowodowane piciem w czasie pracy, śmiertelne lub powodujące trwałe inwalidztwo.

Jeśli idzie o choroby, to częste są przypadki zapadania na choroby układu krążenia i wątroby u ludzi nadużywających alkoholu. Alkohol przyczynia się przede wszystkim do powstawania i rozwoju nadciśnienia. Szczególnie niekorzystnie oddziałuje alkohol na układ nerwowy. Niedobór witamin z grupy „B” przyczynia się do zapalenia nerwów obwodowych, początkowo — nerwów palców stóp i rąk, w których następuje uczucie mrowienia i cierpienia, następnie nerwów biegnących od stawów. W





# CZŁOWIEK

Człowiek mocno stojący na nogach

Marzenie człowieka — to być całkowicie panem swego istnienia. I słusznie, to bowiem stanowi o jego wyższości nad zwierzęciem, że może spojrzeć na siebie, patrzeć na świat, oszczędzać swoje życie i nim kierować według zasad swego ideału. Wielu jednak ludzi, którzy uważają się za panów swych czynów, w rzeczywistości jest mniej lub więcej niewolnikami swego ciała i swej wrażliwości. Nie potrafią oni zaprowadzić ani w pełni utrzymać hierarchii swych możliwości. Albo nie widzą jasno, albo żeby żyć stojąc mocno na nogach, liczą tylko na własne siły.

Pod względem psychologicznym niewielu ludzi jest normalnie „zbudowanych”.

Niewielu ludzi uporządkowało i ustawiło na właściwym miejscu różne piętra swego jestestwa.

Niewielu ludzi jest doskonale zrównoważonych, bo albo nikt im nie pomógł w budowaniu siebie (wychowanie), albo nigdy nie budowali siebie samych (wysiłki młodzieńcze i człowieka dorosłego), albo sami się obniżyli, obniżyli ich inni, rzeczy, struktury, życie...

Człowiek dobrze zbudowany ma trzy piętra:

- trzecie piętro — strefa duchowa,
- drugie piętro — strefa duchowa,
- pierwsze piętro — strefa fizyczna.

Wszystkie trzy piętra zająbiają się, łączą, współoddziałują na siebie, ale ich hierarchia musi być zachowana: strefa cielesna, jest na dole: duchowa, najpiękniejsza, na górze. Jeżeli nie zachowuje się tego porządku wartości, budowla jest zła, człowiek jest wadliwie zbudowany.

Niektórzy ludzie chodzą na głowie. To nie jest sposób, człowiek inaczej jest utworzony.

Chodzisz na głowie, gdy fizyczność — twoje ciało — bierze górę i kieruje tobą. Jest to zmysłowość pod wszystkim postaciami. Może też to być choroba, która przygniata, zamiast żeby była opanowana i ofiarowana.

Jeżeli ciało decyduje, rozkazuje, a ty mu ulegasz, jego ciężar przyniesie ci w sobie resztę, uczuciowość stepieje, duch przygaśnie i osłabnie.

Twoje ciało nie objęło całkowicie i ostatecznie steru władzy? Być może. Jeżeli jednak szczerze się obserwujesz, nieraz przyłapiesz się na tym, że chodzisz na głowie:

- to łakomstwo, któremu nie możesz się oprzeć, to słodycze, to kieliszek wina,
- to ociężałość ciała, która nie pozwala rano wstać, lub gdy wstałeś, odsuwa wysiłek,
- to wrażenie, któregoś szukał i zakosztował dla dogodzenia sobie, to pędzona dla niej samej przyjemność seksualna.

Dalej, na nogi, bądź człowiekiem!

Niektóre osoby posuwają się pełzną: to uczuciowość nimi rządzi. Uczuciowość jest twą panią, gdy jakieś przywiązanie przemienia się w namiętność, a wymykając się spod kontroli rozumu sprawia, że „tracisz głowę”.

Jeżeli uczuciowość bierze górę, to paraliżuje umysł, ciągnie go na swym pasku; umysł nie może wówczas wydawać zdrowego sądu i działać w sposób wolny.

Jeszcze nie stałeś się całkowicie niewolnikiem uczuciowości? Być może. Czy jednak nie rządzi ona tobą za często?

Uważasz, że ta osoba ma rację, ponieważ kochasz ją a tamta jest w błędzie ponieważ „nie chcesz jej znać”.

Pracujesz z jednym ze swych profesorów, bo jest dla ciebie sympatyczny, a z innym nie robisz nic, bo go „nie znosisz”.

Poświęcasz się, oddajesz się o wiele więcej temu niż tamtemu, bo go kochasz uczuciowo: z nim chętnie współpracujesz w zespole, bo dla niego „poszedłbyś na koniec świata”, ale z jego przyjacielem nie mógłbyś współpracować.



Opanowały cię czarne myśli, jesteś do niczego, bo czyjaś wymówka cię zraniła,

czyjś ironiczny uśmiech sprawił ci przykrość, ktoś ci ręki nie podał. Już nie masz odwagi walczyć, bo nikt nie widzi twych wysiłków, bo nie doznajesz pociechy (dla zgłodniałej uczuciowości).

Dzisiaj modlisz się, bo „jesteś w formie”, a jesteś w formie, boś otrzymał miły list, bo twój przyjaciel miał względem ciebie delikatny odruch, bo cię wzruszył widok wielkiego cierpienia...

Ale jutro już nie, będziesz mógł się modlić, bo będziesz „oklapnięty”, a będziesz oklapnięty, bo nie stwierdzisz wyraźnych rezultatów twoich wysiłków, bo ktoś nie uwierzył w twoją dobrą wolę albo też przyjaciel cię porzucił..

Ty nie stoisz mocno na nogach, ty pełniesz, niewolniku!

Człowiek trzymający się mocno na nogach to ten, którego duch, całkowicie wolny, rządzi uczuciowością i ciałem. Nie lekceważy ani pierwszego, ani drugiego, bo obydwą są piękne i pożyteczne, skoro stworzone przez Boga, ale panuje nad nimi i nimi kieruje. To on jest zwierzchnikiem, tamte są sługami.

Masz prawo posłużyć się uczuciowością lub tężyzną ciała, one są siłą, ale musisz nimi kierować. To twoje wierzchowce: możesz ich dosiąść, ale mocno trzymaj lejce; to twój pojazd: możesz nim jechać, ale trzymaj mocno hamulec kołowy — jeżeli konie się rozpuśćą, stracisz panowanie nad pojazdem i ulegniesz wypadkowi.

Niektórzy ludzie bujają w obłokach. Nie chodzą nogami po ziemi.

Bujasz w obłokach,

gdy bierzesz marzenia za rzeczywistość,  
gdy spędzasz czas na układaniu planów, których nigdy nie zrealizujesz,

gdy nie stosujesz się ani do ludzi, ani do rzeczy,  
gdy samego siebie nie znosisz, gdy nie zgadzasz się na innych, na środowisko, w którym żyjesz, na miejsce, jakie zajmujesz, na wydarzenia, które cię spotykają...

Bujasz w obłokach,  
gdy z lęku przed rzeczywistością, przez brak szlachetności lub dla przyzwoitego zadowolenia pozwalasz unosić się marzeniom.

Marzyć o życiu nie znaczy żyć.

Masz prawo zacząć się o odrobinę marzenia, żeby móc iść naprzód, ale nigdy żeby oddalać się od rzeczywistości!

Aby się dobrze ukształtować i mocno stać na nogach, musisz często sobie przypominać różne piętra w człowieku i ich hierarchię; następnie musisz się bezstronnie obserwować w stosunku do danej osoby, danego uczynku, danej postawy... Co cię popchnęło, że tak zdecydowałeś, w ten sposób postąpiłeś lub że zrezygnowałeś? Samo stwierdzenie, że nie od ciebie wyszła decyzja, już będzie zwycięstwem twego umysłu. Nie jest on już bezwolną ofiarą, ale wyzwala się i podejmuje kierowniczą rolę w twym życiu.

Człowiek nie może mocno stać na nogach o własnych siłach, ciało ma za ciężkie, uczuciowość zbyt ruchliwa. Potrzebna mu siła, która by go pociągała w górę, podtrzymywała i przemieniała wewnątrz.

Jeżeli otworzysz swą duszę Bogu, będziesz silny Jego siłą, a uczuciowość i ciało będziesz miał w swoich rękach, skoro twoje ręce będą w rękach Jego.

M. QUOIST  
(Niezwykły dialog)

**rodzina**  
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczna Towarzystwa Polskich Katolików. Zakład Wydawniczy „Odrodzenia”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balabaz, bp Maksymilian Rado, ks. Tomasz Wojtowicz, ks. Wiktor Wysoczeński (prawniczy Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciak (redaktor techniczny), Marek Dziągiewski (redaktor graficzny), Małgorzata Kąpińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Irena Siemiętkowska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefon redakcji: 27-89-42 i 27-83-33; administracji: 27-84-33.

Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyli w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartał 26 zł, półrocze 52 zł, rocznik 104 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczyli. Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-938 Warszawa, konto NBP nr 1183-201045-139-11. Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 80% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Nr zam. 836. C-56.





ny towarzyszyły wyjazdowi. Po głośniejszych pożegnaniach bryczki, wolanty i myśliwi konni wyruszyli z bramy zamkowej długim szturem. Przeprowadzał ich odgłos trąb, jakby zamek, wysyłając swą drużynę na bój, dodawał jej otuchy tym dźwiękiem szpizowym.

Ordynat jechał konno, za nim strzelec Jur wiózł dwie strzelby i naboje. Waldemar miał przy sobie rewolwery w ołstrach i sztylet w srebrnej pochwie. Ołbrzymi dog Pandur biegł obok jego konia poważnie, lecz z buźną miną. I on rozumiał ważność wyprawy. Udano się najpierw do bliższych borów. Mając czarną linię i w miarę zbliżania się myśliwych rosły w olbrzymów. Od przepaści głębi wiało obfitością zwierzyny. Orszak wbił się klinem w lasy i zaraz w pierwszej kniei rozpoczęto łowy. Oblawa na wilki dała pyszne trofea. W pierwszych zakładach Waldemar nie strzelał, ustępując gościom najlepszym stanowisk. Dopiero w następnych zabił ogromnego wilka w biegu, pomykającego wśród krzaków. Łowczy Urbański polował również i dwaj praktykanci. Główna komenda nad ustawianiem nagonki prowadził jeden z podłowych, drugi kierował psarnią w zakładach, gdzie puszczano psy. Ale nadzór ogólny miał sam ordynat. Zajęto nową część lasu, gdzie przechowywały losie.

Gęsty bór sosnowy, wysoki, podszyty liściastymi krzakami, szumiał poważnie, miał wielką wewnątrz różnorodność kolorów. Żółte i czerwone liście, cicho, prawie bez szelestu spadały na ziemię. Gdzieś tam czerwieniły się borówki, grzyby wysuwały spod mchu tłuste swe czola. Czerwone plamki surojadek, żółte, towarzyskie gąski, różowe rydze, okryte rosą, tworzyły ładne desenie na ciemnym dywanie mchu. Jesień wysadziła się na bogactwo, darząc las wszystkim, co mógł mieć w sobie o tej porze roku. Białe nitki habiego lata, zaczepione o złotawe pnie sosen, wiewały w powietrzu srebrnymi pasmami, owijając liście, tworząc pajęczą siatkę oplatającą las. Razem z masą włókien spływała dziwna melancholia, jakby sonety jesienne. Jakiś ociężały spokój i lagodna cisza w naturze, i bezpretensjonalność, i powaga. Cała natura zdawała się mówić: „Oto szczęśliwie dobiegam kresu”.

I dreszcz siedł po wielkich konarach drzew w obawie nadchodzącej zimy. Liście i kwiaty, i ziola przetróżne czuły, że kres idzie, żółkły im lica i wędliły ciała. Uśmiechały się jeszcze do słońca, ale już przedśmiertnie, boleśnie, wspominając z żalnym poszumem miniony złoty maj. Tylko grzyby panoszyły się buźnie, słysząc nie chcą o jakiejś tam zimie; zaledwo wyjrzały na świat Boży i były pełne pretensji.

Dziś bór miał wiele rozmaitości. Po ustawieniu się myśliwych zagrzmiała donośnie trąba na wyruszenie nagonki, po czym zapadła głucha cisza. Cała linia strzelców jakby zamarła, tylko gęste korony sosen huczały w górze jednostajną melodią kolysanki lesnej, tylko liście szeleszcząc spadały na ziemię, a czasem zakwilił płak wśród gałęzi. Linię obławiono gęsto; prawie za każdym myśliwym stał strzelec.

Waldemar miał miejsce pod ogromną sosną. Trzymał strzelbę w pogotowiu, druga stała oparta o drzewo. Nie lubił mieć za plecami służącego; jego strzelec, ołbrzym Jur, stał w pewnej odległości, mając polecenie przynosić zabitą zwierzynę po skończonym zakładzie.

Nagonka ruszyła daleko, myśliwi nie słyszeć nie mogli. Bór milczał, jakby się gotując do małej nastąpić kanonady. Waldemar wsparł się plecami o sosnę, nie bardzo uważając na ciemne głębie przed sobą. Czy jego nie miały ironicznego wyrazu, sarkazmu, częsty gość w nich, schował się głęboko, wysyłając na swe miejsce trochę tęskna zadumę. Pełne, nieco zmysłowe usta przeciągnęły się w linię stanowczą, jakby do walki, przez tęsknotę oczu przelatowały chwilami groźny błysk. Wówczas brwi tworzyły złowrogi łuk. O czymś rozmyślał, coś postanawiał, może nawet marzył... Lecz na fall marzeń musiały być jakieś porchy nieprzyjemne. One wywoływały groźne cienie w jego oczach i na twarzy.

Nagle rozpogodził się, jakby jasny blask słońca padł wprost na jego głowę. Lekki uśmiešek, prawie rzewny, przeniknął po jego ustach. Wyszepiał niemał z czułością:

— Stefcia...

Wiatr wionął, żółte liście drzew poruszyły się zgodną harmonią, zaszumiały głośniejsze wyniosłe czuby sosen, kilka głosów płaszczy uderzyło w niebo.

— Stefcia... Stefcia... — szeptały dokoła drzewa i kwiliły ptaki.

Z daleka zerwał się hałas kołatek i przeciągłe pohukiwanie idącej zgrai.

Szła nagonka.

Jeszcze chwila nateżonej uwagi... Zadudniał głuchy potężny tętent, ozwał się trzask łamanych gałęzi i Waldemar ujrzał pędzącego z boku olbrzymiego insia. Zwierzę rwało przez zarośla ociężałym klusem, z podniesioną głową i położonymi na grzbiet rogami jak sekate gałęzi.

Waldemar wymierzył, lecz nie strzelał; oddał pierwszeństwo księciu Zanieckiemu. Ten raptownie podniósł strzelbę do oczu, ale coś dojrzał ruch i skręciwszy na miejscu, rzucił się w stronę Waldemara. Zaniecki strzelił z obu łuf — spudłował. Łoś zadart głowę i farnując posunął się bliżej ordynata.

Wówczas Waldemar wypalił, mierząc w komorę, raz i drugi. Ołbrzym ryknął przeciągłe i ciężko ranny poszedł dalej.

Prochwicz dokonał mordku. A Zaniecki szepnął do siebie:

— Ordynat rozmarzony, zaczyna pudłować.

Strzały nie milkły, cała linia grzmiała hukami.

Padło kilka łosów, inna zwierzyna sypała się gęsto. Ordynat zabił dużo, otaczał go ładny wianek zdobyczy.

Gdy nagonka podeszła blisko, myśliwi zgromadzili się przy księciu Gierstorffie.

Każdy opowiadał o swych zdobyczach.

— Ja najwięcej dałem strzałów — wołał Trestka.

— A zabił pan ile sztuk?

— He?... coś chyba... ech, nie wiem! To się potem policzy.

— Panowie, haczość! uważam, że Trestka chce ściągnąć każdemu z nas po jednym zajączku dla zwiększenia swego tryumfu — zawołał wesoly Brochwicz.

Trestka obraził się.

— Szczególnie tobie nie mógłbym tego zrobić, bohys od razu poznał, mając najmniej na rozkładzie.

— Przepraszam cię! zahilem sześć zajęcy, wilka i kozła. To trochę więcej niż u ciebie, gdzie tylko jedna lisia kita błyszczy w otoczeniu dwóch szaraków.

— Dobrze strzelacie oha i zwierzyny mnóstwo — rzekł pojednawczo Gierstorff.

Hrabia Barski zbliżył się do Waldemara.

— Czekamy ze śniadaniem na panie? — zapytał biorąc go pod rękę.

— Zapewne, już wkrótce przyjadą.

Hrabia pociągnął go na stronę.

— A propos! niech mi pan powie... raczej określ bliżej stosunek tej... tej... comment donc! panny Rudeckiej do naszego towarzystwa?

Waldemar stanął jak spiorunowany, gniew zawrzał w nim, osiły wzrok zwrócił na hrabiego i spytał:

— Jaki stosunek? Nie rozumiem!

— Ah, Diu! panie ordynacie! chcę, abyś mi jaśniej wytłumaczył pozycję tej panny między nami...

— Jest nauczycielką Luci Elzonowskiej i zarazem towarzyszką... przyjaciółką.

— Nie to. To wiem... Ale ona ma prawa jakiejś wyższe nadane jej przez was?... Ona jest traktowana na równi z pannami ze sfery?... Ale Rudecka to trochę za mały szczebel do naszych wyżyn... za mały!

— Pozwoli pan, nasze wyżyny, jak pan się wyraził, to rzecz bardzo względna i wymagająca szerszego omówienia — przerwał Waldemar.

Hrabia skrzywił się, przybierając postawę pełną godności.

— W ustach pana trochę fałszywie brzmią jego słowa — to nuta nieodpowiednia dla potomka jednego z pierwszych rodów naszej arystokracji.

— Nie jestem, panie hrabio, fanatykiem sferowym. Cenię swój ród, lecz nie klaniam mu się bałwochwalczo. Sygmat wyższości widzę w czynach, nie w herbie, bo taki sam noszą inne rody w kraju.

— Ale masz pan nad nim nitre, czego ci inni nie mają.

Waldemar roześmiał się przykrym, szyderczym śmiechem.

— Ach! więc to?... o mnie nitra, u hrabiego dziewięć palek?... to stanowi owe wyżyny? Aa, jeżeli tak, to panna Rudecka istotnie do nas nie dobiega, ale razem z Szeligami, Zniem i wszystkimi, którzy są uważani za naszych, są wśród nas, a jednak mają tylko pięć palek w koronie.

Hrabia spojrzął ciekawie, lecz z gniewem na ordynata.

— Nie pojmuję pańskiego oburzenia!

— Daruję hrabiu, ale ja nie pojmuję całej naszej rozmowy.

Waldemar był wzburzony i nie ukrywał tego, nie hacząc na nic.

— A jednak ja wciąż dążę do tego, aby pana przekonać.

— Nie, hrabio, to na nic. Proszę się nie trudzić!

Barski mówił dalej, jakby nie słysząc:

Nasz sygmat nie leży w tej samej koronie, lecz i w tradycji. To, co świat cały nazywa arystokracją, wymaga u nas pewnej haczości, nawet pieczołowitości. Nie wolno nam zapominać o tym, nie wolno wprowadzać obcych pierwiastków w nasze zgromadzenie, aby nie wywołać gangreny, paraliżującej nasze poglądy, najświętsze dążenia. Fernient taki byłby katastrofą naszych idei; nie wolno nam zapominać o tym!

Hrabia podniósł wskazujący palec do wysokości swej twarzy i wpijając w Waldemara oczy jak sztylety, powtórzył dobitnie:

— Nie wolno!

— Patetyczny głupiec! — pomyślał Waldemar. — Gangreny... paraliże... fernenty?... Co to ma za związek z panną Rudecką? — wybuchnął głośno.

— O, ma! i wielki. Ona jest właśnie pierwiastkiem...

— Mogącym nas zgangrenować? Ha, ha... niech pan wierzy, że jeżeli kto kogo, to z pewnością my ją prędzej zgangrenujemy.

Hrabia poruszył się obrażony.

